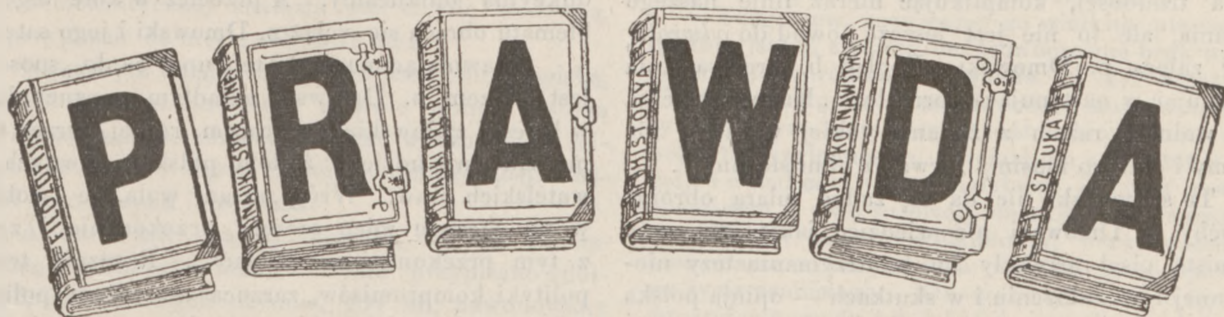
Nr 49 (1559). Warszawa, 3 grudnia 1910 r. **Rok XXX**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 8. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Samson czy Herostrates?

Po długiem milczeniu zabrał znowu głos p. Dmowski na szpaltach *Gazety Warszawskiej*. Zabrał po to, aby w myśl wyrzeczonej uprzednio groźby „poddać rewizji stosunek lewicy rosyjskiej do sprawy polskiej". Bezpośrednim powodem rewizji było wiadome wystąpienie *Rieczy* przeciw ograniczeniom żydów w samorządzie miast polskich, czym uczuł się dotkniętym sztab główny narodowej „demokracji". Przyczyną zaś właściwą jest niechęć lub nieumiejętność ze strony naszych nacjonalistów wyboru takich metod, któreby nie stawały wpoprzek lewicy konstytucyjnej rosyjskiej, a zarazem zdolne były zapewnić trwały, normalny kurs polityce polskiej w Petersburgu. Rzeczony kurs wyginał się dotąd bezładnie i kapryśnie, co w języku p. Dmowskiego nazywa się „polityką wolnej ręki". Ta wielce osobliwa „realna" polityka uznaje, a nawet zaleca sztuczny kompromis wobec żywiołów, zajmujących względem nas nieprzejednanie wrogie stanowisko, ale wzdraga się uczynić jeden bodaj krok na spotkanie naszych przyjaciół z lewicy. Wynikiem tej dziwnej metody, stosowanej jakby na złość wskazaniom trzeźwego umysłu, były dwie serje flirtów październikowskich oraz igraszek neosłowiańskich, zakończonych rozgłośnym fiaskiem. W tym samym czasie sprawa polska ani na jeden cal się nie posunęła, czego nie można zwalać na karb li tylko reakcji, ponieważ moralna waga naszych postulatów w obozie młodej Rosji doznała poważnego uszczerbku, a proste linje naszych ideałów narodowych są dziś zgmatwane i spaczone. Teraz pragnie p. Dmowski zerwać ostatnie węzły ideowego powinowactwa z naszymi naturalnymi w Państwie sojusznikami; tej burzycielskiej robocie przygląda się społeczeństwo bądź w niemym odrętwieniu apatji, bądź z wyraźnym niepokojem w kołach, bardziej politycznie wyrobionych. Bowiem zaiste, zbyt wielkim kosztem gotów jest p. Dmowski okupić satysfakcję wytknięcia kadetom kilku słabostek i uchybień, które są nam równie, jak jemu, widoczne...

Ale polscy politycy postępowi zdają sobie dobrze sprawę, że suma dodatnich czynów lewicy rosyjskiej wespół z całością ich zasług, ofiar i zamierzeń w sprawie Wolności i w naszej sprawie — wielekroć przewyższa i przysłania faktyczne niedobory. Tego nie chce widzieć b. prezes Koła.

Czepiając się różnych błahostek, kładąc przesadny nacisk na szczegóły bardzo subtelne, wytykając zwłaszcza lewicy rosyjskiej — wślad za *Rossiją* — bezwzględny filosemityzm — p. Dmowski wysnuwa ztąd pośpieszny i kategoryczny wniosek: niewspółmierności naszej sprawy z demokracją konstytucyjną w Rosji.

Pod wpływem afektu myślowego popełnia tedy czyn działaczom politycznym surowo wzbroniony, bowiem pierwszą cechą prawdziwie realnej polityki jest umiejętność hierarchicznego podziału faktów, z wyłącznym naciskiem na to, co posiada zasadniczą wagę. Tą zasadniczą dla nas wagą w polityce stronnictw rosyjskich jest pojmowanie ścisłego związku, jaki zachodzi pomiędzy autonomią Królestwa Polskiego a rozwojem konstytucyjnym Rosji — nie tylko w myśl oderwanych zasad sprawiedliwości ale w imię własnego interesu. Na tym właśnie stanowisku stoi partja kadetów, dziś niemiarodajna i zepchnięta do roli opozycji, a choćby nawet najbliższa przyszłość nie była dla niej łaskawą, to jednak liczyć się z nią musimy bardzo poważnie, choćby dlatego, że z nikim innym liczyć się nie możemy. Poza lewicą konstytucyjno-demokratyczną opozycja rosyjska nie posiada czynników twórczych.

P. Dmowski doskonale to rozumie, jeno zraża go

i zniechęca do kadetów to, że podejmując sprawę autonomji Polski, stawiają natychmiast na porządku dziennym sprawę pośledniejszych nacji i grup, a zwłaszcza *sprawę żydowską*. To nam bezsprzecznie przysparza trudności, komplikując nieraz linje naszego działania, ale to nie jest jeszcze powód do *odwrotu*, który zaleca p. Dmowski. Pogląd b. prezesa Koła można ująć w następującą formułę: „Kadeci obiecują nam wolność razem z żydami; takiej wolności nie chcemy i dlatego musimy zerwać z nimi stosunki".

To stanowisko nie da się żadną miarą obronić i choćby p. Dmowski nie wiedzieć jakie wytrawne i sążniste pisał artykuły ku podtrzymaniu tezy niefortunnej i w założeniu i w skutkach — opinja polska nie przyzna mu racji.

* * *

Stanowisko p. Dmowskiego pogarsza jeszcze ta okoliczność, że ma on za sobą dotkliwe błędy, a w jego wywodach niebrak bałamutnych i sprzecznych zwrotów. Typowy jego *daltonizm* sprawia, że wódz naszych nacjonalistów do jednych i tych samych zjawisk rozliczne stosuje miary. Pisząc np. o braku powściągliwości, co jest wielką polityczną wadą, powiada: „działacze żydowscy w Rosji nie mogli sobie odmówić jaknajmocniejszego zaznaczenia, że teraz na nich kolej przyszła, że oni mają wpływ i pokierują dziełem reformy..." Niewątpliwie, jest w tym wiele prawdy, ale — p. Dmowski popisał się równą niepowściągliwością w II-ej Dumie, czyniąc Koło Polskie *języczkiem u wagi* i wysuwając je w ten sposób na sam front widowni politycznej... A dziś, czy zdradza przynajmniej rozumienie swoich błędów, czy się do nich przyznaje? Bynajmniej.

Odpowiadając p. Pietrunkiewiczowi woła buńczucznie: „mało mię obchodzi, czy ludzie (!) uważają, że niegdyś miałem słuszność, lub jej nie miałem". Nawet kanclerz niemiecki, nawet pruski minister wojny, mimo całej buty i pogardy dla „ludzi", unikać zwykli podobnych wyrażeń, które fatalne mają brzmienie w ustach przedstawiciela partji „demokratycznej" i *championa*, walczącego o wolność narodu...

Ciągłe poczucie odpowiedzialności jest pierwszą cnotą męża stanu; świadomość błędów — pierwszą rękojmią poprawy; p. Dmowski dowiódł, że odpowiedzialności nie znosi i poprawić się nie chce; *soit*! Opinja na tym poprzestanie, nie czekając na pełnię recydywy...

Główny zarzut p. Dmowskiego przeciw liberalnej Rosji polega na tym, że — kadeci nazbyt cenią „pryncypia", a lekceważą fakty realne. B. prezes Koła żywi dla nich uznanie za „pryncypium" autonomji polskiej „jakkolwiek — pisze — zawsze obchodziła mię więcej nie sama zasada, ale sposób, w jaki kadeci będą ją stosowali w polityce praktycznej. I sposób ten właśnie uważam za szkodliwy dla sprawy polskiej". Szkodliwy jest on dlatego, że kadeci wyprowadzają hasło autonomji polskiej metodą dedukcji z ogólnych pobudek, co się panu Dmowskiemu nie podoba, jako rzecznikowi indukcji... I pan Dmowski każe nam to traktować poważnie!

Rzecz prosta, zamiłowanie do poprawnych „sposobów" polityki według zasad indukcji jest rzeczą piękną, ale tego amatorstwa nie można posuwać aż do zupełnego zaprzepaszczania sprawy. Nie wolno wystawiać na szwank sprawy naszej pod tym tylko pozorem, że chcemy wolności „indukcyjnej", a „dedukcyjną" odrzucamy. A przecież w kole tego problematu obraca się wciąż p. Dmowski i jego satelici!

Ujawniając manjacki ten upór co do „sposobów" jest zarazem p. Dmowski zajadłym „pryncypialistą" w kwestji żydowskiej, gotowym raczej wyrzec się samorządu, niż udzielić żydom polskim równych obywatelskich praw. Wróg „zasad" woła, że „wolno mu w tej sprawie mieć szczere przekonanie i zgodnie z tym przekonaniem działać"... Rzecznik trzeźwej polityki kompromisów zarzuca niektórym politykom naszym, że stawiają sobie pytanie: „co powie na to liberalna Rosja?" Okazuje się poprostu, że p. Dmowski wtedy tylko jest wrogiem „pryncypiów", kiedy są to „pryncypia liberalne", a natomiast sam obstaje uporczywie przy tych, które pozwalają dać pełną folgę nałogom wstecznym i represyjnym. Jest to jeden z rysów typowych jego nieciekawej zresztą fizjognomji.

* * *

Czego chce właściwie b. prezes Koła, podejmując dyskusję kadecką? Znaczna większość opinji naszego kraju, wprawionej w niemiły kłopot, nie umie na to odpowiedzieć. Natomiast p. Dmowski pisze wyraźnie: „Jestem tego zdania, którego byłem zawsze, że przedstawicielstwo polskie w Dumie nie może się wiązać z żadnym stronnictwem, od żadnego się uzależniać, że musi sobie pozostawiać swobodę głosowania w każdym wypadku tak, jak mu dyktują interesy sprawy, której broni, bez względu na to, w jakim towarzystwie się znajdzie".

W tym zdaniu mieści się zapowiedź wyjścia p. Dmowskiego z ustronia, gdzie dotąd przebywał, na widownię czynnej polityki. P. Dmowski czyni to z ostentacją, przyczym chwyta w lot nadarzającą się sposobność — kosztem kadetów — do proklamowania zasad owej polityki nietyle wolnej ręki, ile wolnej reakcji, która jest w wieńcu jego sławy laurem najbardziej wątpliwym... P. Dmowski sam uniemożliwia sobie drogę powrotną do dyktatury; ogół jest ostrzeżony. Inicjatywa p. Dmowskiego nie będzie przyjęta przychylnie. Łamiąc normy współpracy z kadetami wzamian zaleca nam p. Dmowski ponownie błąd 1907 roku, a mianowicie metodę, wzorowaną na frakcji irlandzkiej w Izbie Gmin. P. Dmowski zdaje się przeoczać otchłań różnic pomiędzy rosyjską „Dumą" a parlamentem angielskim, gdzie w chwili obecnej Redmond, jak niegdyś Parnell, stanowiąc istotnie „języczek u wagi", może dyktować warunki.

Przenoszenie tych poprawnych europejskich metod pod kopułę Pałacu Taurydzkiego jest nietylko naiwnym bardzo krokiem, ale i błędem nie do darowania.

Dopóki w Rosji nie zapanują porządki angielskie — co nieprędko nastąpi — żadna, choćby najwytrawniejsza polityka „wolnej ręki" ze strony Polaków nie przejedna ani rządu, ani nacjonalistów rosyjskich, natomiast będzie się zawsze zwracać ostrzem wyłącznie przeciw lewicy, która jest naturalnym naszym sprzymierzeńcem.

Sądzimy, że polityka polska tego za cel swój obrać nie zechce..

Inaczej obóz p. Dmowskiego. Zadawniona, głęboko tkwiąca w tym zespole niechęć do idei postępowej i demokratycznej znalazła oto chwilę stosowną, aby przypuścić do niej gwałtowny atak.

Na niczym on spełznie. Bowiem opinję polską, skądinąd nawet niechętnie i opornie wobec postępu nastrojoną, cechuje zdrowy instynkt, wyczuwający ścisłe powinowactwo dążeń młodej liberalnej Rosji z naszymi narodowymi interesami.

A jest to tak potężny instynkt, że mu nie zaszkodzą wysiłki człowieka, któremu przypisano zdolność do samsonowych czynów, gdy on, powodowany megalomanją bez granic, wziąłby na się raczej rolę Herostrata, gdyby mu na to pozwolono.

Wielki starzec.

(Sylwetka pośmiertna).

Tołstoj to natura skomplikowana i zawiła, dążąca przez całe życie do prostoty zasadniczej i niekiedy przesadnej, jako do gwiazdy przewodniej, która go miała wyprowadzić z mrocznych podziemi jego ducha, z tajemniczego labiryntu pełnej przerażeń i zawziętej w swych nieustannych dociekaniach umysłowości. Poczucie obrazów ziemi ojczystej krzepi krew jego zmysłową żądzą rozmachu i swobody. Zaś rdza wiekowa ponurego absolutyzmu w krwi tej, nakształt skrzepów, zgromadzona, tamuje jej obieg purpurowy, przedzierzgając sen w zmorę, żądzę w przestrach, życie w pokutę, miłość w rozkaz ślepy i fatalny!

Postać to olbrzymia i ponura, głosząca prawdę i miłość w nieprzeskoczonych granicach owej ponurości. Nigdy jeszcze miłość i prawda nie miały tak bladych, tak posępnych, tak odwróconych od życia twarzy! Nikt jeszcze nie potrafił miłować tak niemiłosiernie i mówić prawdę z takim marsem na nieprzychylnym czole!

„Znienawidziłem siebie i poznałem prawdę" — mówi w swej spowiedzi. Rozkażmy jakiemuś serafowi, ażeby na surmie złotej otrąbił to — pychą szczerości wygłoszone zdanie po lasach, po łąkach, po całych przestworach wszechświata, gdzie niemasz końca echom i odgłosom!... I wówczas wsłuchajmy się, jak w tym zdaniu brzmi słowo: prawda, poprzedzone nienawiścią ku samemu sobie?... Ażeby poznać tę prawdę — musiał pierwej siebie znienawidzieć!

Cały jego rozwój duchowy był nieustannym i systematycznym wyrzekaniem się najpierwotniejszych swoich upodobań, żądz, lotów, rozpędów a nawet uzdolnień. Rozwijał się na przekór sobie samemu i na złość naturze własnej.

Zmysłowiec z krwi i kości — karał siebie ascezą i dematerjalizacją najpłomienniejszych swoich wizji, najcielesniejszych marzeń! Duch hulaszczy i egoizmem życia upojony — zakuwał siebie w kajdany skruchy i miłości, która była dlań deską ratunkową na rozszalałym morzu jego własnych żywiołów lub raczej upartym, logicznym wnioskiem posępnych i tajemniczych przesłanek! Karał siebie i zakuwał w kajdany, przerażony swym własnym genjuszem, swą niespodzianą i niebezpieczną potęgą, swym boskim pochodzeniem, swym zwierzęcym głodem zboczonego istnienia, wreszcie swym ludzkim kształtem, w który się przyodział, ażeby przyjść na ziemię! Może go nawet przerażała twarz własna, oglądana w zwierciadle: tak był niepodobny do tego wszystkiego, co ujrzał na tej ziemi, nie wyłączając siebie samego, i tak *po raz pierwszy* widział to wszystko i nie mógł się z tym pogodzić. Rozdwojeniec, do końca swych dni na ziemi nie wiedzący dokładnie, który z dwuch utajonych w nim ludzi był — nim samym, a który tylko — sobowtórem— czy ten, co grzeszy, czy ten, co pokutuje?...

Turgeniew, nazywając go wielkim pisarzem ziemi Rosyjskiej, zarzuca mu jednocześnie brak niezależności i pierworodności myślenia. I był rzeczywiście Tołstoj wiecznym poszukiwaczem autorytetów, których maksymalna powszechność zdawała mu się zupełną bezwzględnością. Znalazł ten autorytet w Ewangelji i odtąd cała jego działalność idejowa jest tylko genjalnym w swej surowej konsekwencji *komentarzem.*

Takim samym widzialnym, przypowieściowym komentarzem duszy chłopa rosyjskiego — był tryb jego życia osobistego. Kto się w tym trybie życia chce dopatrzeć komedji lub jakichś innych nieudanych wysiłków — ten oczywiście nie rozumie, iż dla duchów wielkich przypowieść i przenośnia jest — przeżyciem realnym, pozbawionym pożądliwości szczegółów, stanowiących jedyny realizm jego braci pomniejszej. Nie żądajmy od Tołstoja, wpatrzonego w głąb duszy chłopskiej po przez szczeliny ran Chrystusowych, ażeby stał się *naprawdę* chłopem, lub *naprawdę* żebrakiem, lub *naprawdę* pustelnikiem.

Duch wielki, nie z tego świata, jeśli się dotknie ziemi, w swym ponad nią przelocie zdąży zaledwo naszkicować na jej powierzchni przeznaczony mu plan pobytu na niej. Szkic ten starczy nam za obraz dokładny i mitręźny.

Bądźmy wdzięczni orłowi za kilka dorywczych śladów, które skrzydłami swymi na ścieżkach i drogach naszych zaznaczył, i nie żądajmy, ażeby te ślady szczelnie i zwarcie ułożyły się bez żadnej reszty w obrębie tych samych dróg i ścieżek.

Przypowieścią było życie Tołstoja.

Przypowieścią, pełną zawziętej pokuty za widzialne i niewidzialne grzechy ziemi Rosyjskiej, pełną znojnych sprzeczności i niekonsekwencji, nagłych przerażeń i osamotnień, przestwornych marzeń niespokojnego więźnia i pokątnych bogów zaciekłego sekciarza.

Prócz chłopa — nie znalazł w społeczeństwie swoim nikogo, kogoby mógł naprawdę i szczerze umiłować. Chętnie też siebie i bohaterów swoich zatracał, zaprzepaszczał w bezimiennym morzu urojonej ludzkości, przenosząc tę ostatnią nad żywego, rzeczywistego człowieka. To też bohaterowie jego powieści nie żyją w pośród nas tak poufnie i tak otwarcie, jak bohaterowie Dostojewskiego. Nie czarują nas swymi wadami, nie nęcą swymi upadkami, nie pociągają swym cierpieniem, nie porywają swym nagłym objawieniem, nie kuszą swym wyrazem twarzy... Nie widzimy ich nigdy w zupełnej izolacji od reszty społeczeństwa. Żaden z nich nie posiada w świecie swej złotej, dalekiej wyspy, ku której wabi nas i przywołuje, aby tam odsłonić przed nami do głębi swą duszę, zawsze ludzką, zawsze niespodzianą, zawsze godną zachwytu i miłości. Nie! bohaterom Tołstoja nie znana jest taka wyspa złota!

A jeśli ich nawet przyłapiemy na gorącym uczynku odsłaniania swej duszy, to z przerażeniem widzimy, iż pomimo pozornego rozsądku i zdrowia fizycznego, chorzy są na jakąś osobliwą, scholastyczną *manję logiki,* doszukują się treści swego losu w dziwacznych formułkach i szaradach liczbowych.

Taką samą formułkę znajdujemy w założeniu idejowym powieści p. t. „Wojna i pokój".

Nielogiczność życia rosyjskiego każe i autorowi i jego bohaterom ratować się ograniczeniem swych żądz przesadną, drobiazgową logiką, doprowadzoną do nonsensu, do manji, do bolesnego myślenia, na przekór własnemu rozumowi. Tu właśnie powinien się rozlegać „czerwony śmiech" Leonida sa Andrejewa!

To życie nielogiczne kotłuje się posępnie w po-

wieściach Tołstoja, rwącym, szalonym potokiem przepływa przed naszymi oczami, unosząc na swych tajemnych falach oddzielne jednostki i zagłuszając nieustannym, głuchym porykiem ich głosy, i skargi, i szepty miłosne i okrzyki nadziei i wołania marzeń.

A ponad tym wszystkim panuje cień podejrzenia, który autor rzuca na stworzonych przez siebie ludzi: podejrzenia o nicość, o pustkę, o wieczną samoudrękę, o niemożność zwycięztwa i opanowania rozjuszonego wokół i niepojętego żywiołu.

Jednostce pozostaje tylko — pokuta i spowiedź, jako dwie pochodnie, które swym krwawym blaskiem mogą rozjaśnić ciemność dookolną.

W swych uniesieniach zmysłowych, którym nie wystarcza ideja czysta, lecz dopiero stosowana, pragnie Tołstoj pokuty rzeczywistej, widomej, doraźnej, prosząc o to aby zamiast skazańców powieszono jego — nieustannego zastępce i współmęczennika, dla którego nieznośną się stała wiekuiście pusta ideja męczeństwa bez samego procesu, bez radości krwi, za braci swych przelanej.

Wszak już się przygotował do śmierci męczeńskiej za pomocą spowiedzi powszechnej!

Nie pisał jej poto, aby się bronić, napadając na osobę własną, aby uprzedzić napaść innych, niespodzianych wrogów, jak to czyniło wielu przed nim autorów.

Nie! Oskarżał siebie naprawdę z dziką radością samookrucieństwa, z ekstazą natchnionego oprawcy, który zanurza ostrze swego toporu w pełną grzechu i pokusy zgniliznę! A czemże jest spowiedź, jeśli nie ulgą osobistą, osiągniętą zapomocą zwalenia na barki swych bliźnich przynajmniej połowy własnych ciężarów! Wierzymy, iż Tołstoj nie ograniczył się — połową! Zwalił całość, którą odtąd jego współbracia dźwigać muszą!.

Miał jednak prawo po temu!

W duszy jego pokutowała cała Rosja i żywot jego był bolesnym skrótem, kurczowym streszczeniem historji ojczystej! Na jednego człowieka to może zbyt wiele, choćby był nawet urodzonym męczennikiem! Powtórzyła się w nim raz jeszcze cała historja nawpół sennego, nawpół ocknionego narodu, poczynając od żądzy swobody, od zapatrzenia się w słońce, a kończąc na pijaństwie, na grze w karty, na hulaszczych wybrykach, nagłych przerażeniach, poszukiwaniach „idei", ekstazach religijnych, „narodniczewskich" porywach, skłonnościach do streszczenia prawdy w broszurach, wreszcie na dobrowolnym „zesłaniu" siebie na pobyt dożywotni w Jasnej Polanie!

Straszno było zapewne grzebać tego starca, którego pierś, śmiercią porażona, zawarła w sobie całą Rosję dotychczasową, zmieszaną z wielmożnymi szczątkami jakiegoś umęczonego boga! Straszno było ziemią tę pierś przywalić i dziewięcioma dębami ukoronować poległe w śmierci zwłoki!

Już odtąd w szumy tych dębów wsłuchiwać się będzie cała Rosja od krańca do krańca!

Z dniem każdym widmo tej samotnej mogiły rozrastać się będzie i wszerz i wzwyż, aby swym cieniem potężnym ogarnąć zarówno tych, co ich pamięć uczcili, jak i tych, co się od uczczenia tej pamięci uchylili.

Jak bohater bylin rosyjskich, spoczął Tołstoj na rozstajach, w śród dębów dziesięciu. I jego, jak ongi Światogora, nie mogła na sobie udźwignąć ziemia-matka.

Gdziekolwiek po niej stąpił tam grzęznął po kolana, tam nieruchomiał i niedołężniał w swej sile. Wszędzie mu było źle i obco i więziennie... To też życie jego było nieustanną ucieczką. Uciekał od sztuki jako od pokusy. Uciekał od życia, jako od grzechu. Uciekał od ludzi — do Jasnej Polany. Ale i z Jasnej Polany uciekał — dokąd? Do nikąd!

Nie było dlań miejsca na ziemi. Zaledwo się i pod ziemią to miejsce znalazło, zaledwo się i tam — w mogile pomieścił ten wielki Starzec, który ogromem swej pokuty zdawał się rozsadzać rdzawe sklepienia umiłowanej i znienawidzonej przez siebie ojczyzny.

Bolesław Leśmian.

O wychowaniu i nauczaniu.

I.

Równie jak pod względem ustrojowym człowiek nie jest odosobniony, lecz stanowi ogniwo rozwojowe i węzeł nierozerwalny z resztą świata zwierzęcego w jednakiej mierze nie jest on odosobniony i w zakresie czynnościowym, afektacyjnym, znajdując pod każdym z tych względów precedensy u zwierząt najwięcej zbliżonych do niego swą organizacją cielesną. Z tego względu ile razy zachodzi potrzeba szukania wskazań przewodnich i wyłuszczenia jakiego przejawu życiowego, pozbawionego osłonek, dobrze jest zwracać się do analogicznych przejawów życia zwierząt naczelnych, gdyż tam te przejawy wystąpią w uproszczonej, więcej nagiej i elementarnej postaci.

Uogólniając zachodzący tu stosunek i przesadzając go dla ujaskrawienia, można określić, że zwierzę jest to „bête humaine sans gêne".

Nietylko człowiek uczy i wychowuje swe potomstwo, lecz robi to również zwierzę. Motywy, sposoby i dążność końcowa są tu i tam analogiczne a różnice wynikają tylko z różnicy form bytowania człowieka i zwierzęcia. Im niższe są formy bytowania człowieka, tym wychowawcze jego czynności zbliżają się więcej do typu wychowania i nauczania zwierzęcego. Spostrzegać się to daje w wychowaniu szczepów ludzkich, żyjących w stanie natury, pospolicie, choć nietrafnie nazywanych dzikimi. Rozpatrując przykłady i wzory czynności wychowawczych u zwierząt wypada wysnuć następujące uogólnienie. Okres wychowawczy u zwierząt trwa tym krócej, im dojrzewanie i okres rozwoju osobnikowego trwa krócej. Czynności wychowawcze zwierząt są tylko jedną postacią więcej instynktu zachowania gatunku pod postacią potomstwa, zmierzają one bowiem do ochrony i zabezpieczenia tego potomstwa od zagłady na drodze zaprawiania go do samodzielnej walki o byt.

Program tego wychowania i nauczania obejmuje sobą spotęgowanie drogą ćwiczenia przyrodzonych właściwości ustroju i jego zmysłów, dzięki któremu latorośle zwierzęce stają się zdolne poznawać i unikać niebezpieczeństwa ze strony napastujących je zwierząt, oraz zdobywać żer roślinny lub zwierzęcy. Ażeby to mogło być osiągniętym, wszystkie cechy gatunkowe muszą być rozwinięte ponad miarę przeciętną, ażeby można było skutecznie odeprzeć współzawodniczące osobniki. Gdy panująca posucha lub wypalanie stepów sprowadzi w jedno miejsce stada antylop, wałęsające się w poszukiwaniu paszy, to w tych okolicznościach z chwilą znalezienia jakiej połaci wilgotnego stepu, zdatnego do wypasu, silniejsze antylopy zwartym pierścieniem obstępują skraj takiej połaci, słabsze zaś wyparte i odepchnięte od pastwiska, za tyłami mocniejszych biegają, płacząc tak długo, aż głodem wycieńczone poczną zdychać.

Jedną z faz wychowawczych u zwierząt są zabawy młodziaków, igraszki bowiem zwierząt polegają na imitacji i ćwiczeniu ruchów czajenia się, napaści, obrony i ucieczki.

Wychowanie u dzikich szczepów jest ściśle zastosowane do form walki o byt, jakie są właściwe danemu szczepowi, gdyż i tu wychowanie i nauczanie nie ma innego celu, jak uzdolnić wychowańca do samodzielnej walki o byt. Zatym gdy to jest szczep myśliwski i łowiecki, program nauczania i wychowania obraca się w obrębie zaprawiania ciała do trudów my-

śliwskich, tropienia, czajenia się, wędrówek, dalej obejmuje sobą ćwiczenia spostrzegawczości, ćwiczenia zmysłu, wzroku i słuchu dla rozpoznawania głosów i szmerów, wydawanych przez poszukiwane zwierzęta. Do tego dołącza się obznajmienie z kątem, śladem, żerem i obyczajami zwierząt ściganych, ażeby wiedzieć, gdzie. kiedy i jak je tropić, wreszcie nauka sporządzania i nastawiania sideł i pułapek, wyrabiania oręża, poznanie roślin jadalnych i leczniczych. Zależnie od tego, czy to jest szczep pasterski, żeglarski, rolniczy, wojowniczy, czy też nie, nauczanie i wychowanie zmienia swój program i przystosowuje się do tych zadań i wymagań, jakie potrzeby i nakazy życiowe danemu zbiorowisku ludzkiemu narzucają.

I u szczepów pierwotnych jedną z faz nauczania i wychowania są zabawy dzieci i młodzieży. Pozostawiając na uboczu liczne dane etnografji, mimochodem zwrócimy uwagę na taki szczegół, jak ten, że Eskimosi swoim dzieciom sporządzają zabawki, będące modelami sprzętów narzędzi i oręża, którymi posługują się dorośli i to jest pierwszą nauką o rzeczach ich dzieci. Zabawy dzieci poza tym polegają na lepszym lub gorszym naśladowaniu lub przedrzeźnianiu dorosłych w granicach sfery dziecięcej spostrzegawczości. W nauczaniu i wychowaniu szczepów żyjących w stanie natury przejawia się rozmyślne usilne przystosonie się do środowiska przyrody, wśród której one żyją, od której byt ich zawisł, to też doskonałe przystosowanie do swego otoczenia przyrody, podsycone na dodatek doborem naturalnym, charakteryzuje każdy z tych szczepów.

Gdy zwrócimy się do faktów wychowania i nauczania wśród ludzi na wyższych szczeblach pozornej czy też rzeczywistej cywilizacji, to wykryć się dają te same podstawy i cele ostateczne wychowania i nauczania, lecz ujawnić to w sposób wyrazisty staje się już rzeczą mozolną. Rozwój społeczny dziedzinę tę skomplikował wielopostaciowością odmian wychowawczo-naukowych, wzajemnie wypierających się, gdyż nauczanie i wychowanie, będąc narzędziem i środkiem w walce o byt jest organicznie związane i stanowi integralną część bojów pomiędzy zwalczającymi się wzajemnie gromadami ludzkimi.

Gdy podbój przyrody nie mógł nadążyć za naturalnym przyrostem ludnościowym następował podbój człowieka przez człowieka, podbój jednego zespołu ludzkiego przez drugi. Dzięki temu powstała nowa specjalna postać żerowiska, polegająca na rozciąganiu panowania nad resztą i przywłaszczaniu sobie owoców jej zasług. Zaborczość człowieka względem człowieka, gromady względem gromady, będąca źródłem wielu faktów i przejawów społecznych, oczywiście nie pozostała obojętną w dziedzinie wychowania i nauczania. Ona to przekazała historyczne typy wychowania i nauczania charakteru wyznaniowego, dynastycznego, stanowego, teokratycznego, biurokratycznego i innych, z których każdy na swój sposób służy widokom żerowania i walki o byt swych krzewicieli.

Ponieważ nie możemy tu kreślić szczegółowo historji naturalnej zjawisk nauczania i wychowania, przeto ograniczamy się do genetycznego spokrewnienia wyżej wspomnianych objawów wychowawczo-naukowych z takimiż przejawami wśród szczepów dzikich i w świecie zwierzęcym.

Jeżeli, zastanawiając się nad zjawiskiem nauczania i wychowania wogóle, poszukujemy przyrodniczego pionu, to robimy to dlatego, by oczyścić to zjawisko od nalotów fantazji, zachcianki, obłudnego kłamstwa, którymi z natury rzeczy zaśmiecono polemiki, rozprawy na powyższy temat. Wszak kłamstwo nie jest niczym innym jak tanim, niefatygującym narzędziem i środkiem walki o byt w ręku słabych i tchórzliwych, nie mających sił i odwagi żyć prawdą.

(c. d. n.). *Szpon.*

Listy z Galicji.

XVII.

Odroczenie sejmu. Bilans jego pracy. Sprawa Żulińska.

Obstrukcja rusińska trwała 10 dni. Lewica, wbrew obietnicy, zgodziła się na przyjęcie budżetu i ustawy finansowej przed załatwieniem reformy wyborczej. Całe postępowanie lewicy dowodzi zupełnego braku wyrobienia politycznego jej kierowników i członków. Istotnie potulność jej w obec konserwatystów nie zna żadnych granic.

W sprawie projektu nowej ustawy wyborczej lewica zawarła „komromis" z konserwatystami, który w gruncie rzeczy jest kapitulacją jej przed ich uroszczeniami.

Istotnie, nie dość na tym że utrzymano system kurjalny, co, w stosunkach obecnych, mogło być nawet koniecznością, gdyż rząd tego wymagał, lecz zgodzono się na to, aby przy każdej zmianie systemu wyborczego niezbędną była obecność 154 członków sejmu.

Otóż, jeżeli lewica istotnie pragnie dalszej demokratyzacji sejmu, to nie powinna była w żadnym razie godzić się na to, gdyż utrudnia znacznie w przyszłości dalsze zreformowanie systemu wyborczego do sejmu.

Następnie błędem było lewicy że w kurji powszechnej w miastach wprowadziła warunek dwuletniej osiadłości. Wszak kurja ta dlatego ma być utworzoną, aby umożliwić robotnikom wpływ na wybory i przeprowadzenie na nich swoich przedstawicieli. Tymczasem żądanie dwuletniej osiadłości od wyborców pozbawić musi z konieczności prawa głosu wielu bardzo robotników, którzy w poszukiwaniu pracy często zmieniać muszą miejscę pobytu.

Zbytecznym też było zwiększenie liczby wirylistów skoro system kurjalny został utrzymany. Nieuzasadnionym jest też wprowadzenie pluralnego głosowania w kurji włościańskiej. Ci z pośród włościan co dotychczas korzystają z prawa głosu przy wyborach mają mieć, w nowym projekcie, 2 głosy, pozostali 1. Dodatnią stroną nowego projektu jest wprowadzenie tajności wyborów i bezpośredniości ich w kurji IV.

Pośredniość wyborów wraz z jawnością umożliwiały przekupstwa i wywieranie wszelkiego rodzaju presji na głosujących.

Nowy projekt reformy wyborczej przyjęty przez stronnictwa polskie przedstawia się tak: posłów ma być 192 widylistów 15, z kurji wielkiej własności ziemskiej 44, z izb handlowych i przemysłowych 5, z izb rękodzielniczych 2, z dotychczasowej kurji miejskiej 36, z powszechnej kurji miejskiej 10, z kurji wiejskiej 8.

Przyjęcie tego projektu i wprowadzenie go w życie będzie pewnym krokiem naprzód w stosunku do obowiązującej dziś ustawy wyborczej.

Porozumienie pomiędzy Polakami a Rusinami, dotyczące ilości posłów obu narodów w sejmie opartym na nowej zreformowanej ustawie, nie zostało osiągnięte. W obec tego naturalnie reforma wyborcza w ogóle nie jest rozstrzygnięta.

Rusini jako minimum żądań domagali się 51 posłów wybieralnych i 3-ch dotychczasowych wirylistów. Polacy nie chcieli się na to zgodzić. Do ostatniej chwili niewiadomem było jak się zakończą obrady sejmowe—czy nową jakąś awanturą, czy też zawieszeniem broni.

Dzięki niezwykłemu taktowi marszałka Bobrzyńskiego, ostatni dzień obrad sejmowych odbył się bez obstrukcji.

Rusini nie mogli się zgodzić na warunki ofiarowane im przez większość polską, nie mogli więc całkowicie zaaprobować wspomianego wyżej projektu. W obec tego uchwalono, że powyższy projekt ma być tylko podstawą, tłem dla ostatecznego uchwalenia projektu reformy wyborczej, któryby zarazem zawierał

wskazania dotyczącę ilości posłów obu narodów. Projekt ma być opracowany przez istniejącą już komisję reformy wyborczej.

Uchwalono też, aby rząd o ile możności bezwłocznie zwołał sejm skoro tylko komisja opracuje w całości projekt reformy wyborczej.

Rusini postawili żądanie, aby obecna sesja sejmowa zakończyła swoje czynności na omówieniu reformy wyborczej. Polacy musieli ustąpić. Cały szereg spraw nie został załatwiony...

Okazało się więc w końcu; że pomimo przeforsowania „dyskusji” budżetowej i ustawy finansowej w czasie obstrukcji rusińskiej, Polacy nie mogą, wbrew woli Rusinów, ani przeprowadzić reformy wyboczej ani załatwić wielu innych ważnych spraw.

Reforma wyborcza została więc odroczoną.

Gdyby lewica sejmowa z ludowcami zajęła energiczniejszą postawę wobec konserwatystów, gdyby razem z Rusinami, robiąc im słuszne ustępstwa, zechciała obstawać przy szczerze demokratycznej reformie, gdyby niedopuściła do uchwalenia budżetu i ustawy finansowej—wówczas konserwatyści musieliby kapitulować.

Lewica jednak wolała bronić „zagrożonych interesów narodowych” i rzucić się w objęcia konserwatystów.

Polskie „interesy” miały być zagrożonę przez to, że Rusini domagali się stanowczo, aby sprawa reformy wyborczej załatwioną była przed innymi. To „niebezpieczeństwo” było w oczach lewicy tak wielkie dla narodu polskiego, że postanowiła robić jaknajwiększę ustępstwa konserwatystom. Był to oczywiście tylko pozór.

Lewica składa się z demokratów narodowych i demokratów bez przymiotnika. Pierwsi nie myśleli ani na chwilą poważnie o prawdziwie demokratycznej reformie. Stały ich blok z podolakami, największymi wstecznikami jest tego najlepszym dowodem.

Drudzy stanowią konglomerat żywiołów bardzo rozmaitych. Naogół są to ludzie bardzo nieśmieli bez programu, obawiający się wzrostu wpływu socjalistów i potrzebujący względów konserwatystów.

W takich warunkach konserwatyści są panami położenia.

Fanatyczni przeciwnicy Rusinów doprowadzają do tego, że, pod pozorem walki „narodowej”, żadne dalej idące reformy są niemożliwe w Galicji.

Cały przebieg poprzedniej sesji sejmowej powinien być przestrogą dla Polaków, powinien przekonać większość polską, że dalsze opieranie, się żądaniom Rusinów, naogół zupełnie słusznym naraża sejm i kraj na straty i prowadzi do konfliktów bez wyjścia.

Ostatnia sesja sejmowa trwała 2 miesiące i załatwiła bardzo mało spraw. Wspomnę tylko o uchwałach dotyczących zakładania szkół realnych, o ukrajowieniu niektórych bocznych linji kolejowych, o zwiększeniu gwarancji krajowej dla Gal. Kasy Oszczędności ze 100 na 120 miljonów.

Dotychczas nie pisałem wcale o smutnej sprawie żulińskiej, nie dlatego abym ją lekceważył, lecz dlatego że chciałem wyrobić sobie o niej zdanie w powodzi sprzecznych wiadomości.

Naogół prasa polska w sprawie tej zachowała się bardzo lekkomyślnie. Zamiast rozpatrzyć ją wszechstronnie uznała Greissa za niewinnego, a zarzuty mu czynione za oszczerstwo, łącząc tego pana naiwnie ze sprawą polską. Były oczywiście wyjątki, stwierdzają one jednak tylko zasadę.

Niekrórzy korespondenci byli tak naiwni, że broniąc Greissa i opisując swoje dochodzenia w tej sprawie w Żulinie, mimowoli sami dostarczali dowodów przeciko niemu. *Słowo Polskie* drukowało różne listy o tej sprawie pochodzące w znacznej części od osób zupełnie niekompetentnych.

Znaczna większość prasy polskiej, broniąc Greissa, usiłuje wykazać, że Kochańczyk niezostał zabity przez Greissa, i że ten go nie karał za odmawianie pacierza po polsku.

Takie postawienie kwestji zwęża niezmiernie całą sprawę i w fałszywym przedstawia ją świetle, gdyż zamiast rozpatrywać ją wszechstronnie, na tle stosunków pedagogicznych w szkołach ludowych w Galicji i na tle stosunków narodowościowych wogóle — ogranicza ją do jednego tylko dramatycznego epizodu. Otóż, co do zabójstwa małego Kochańczyka przez Greissa za odmawianie pacierza po rusińsku to nawet „Diło”, organ ukraińców, nie twierdziło tego nigdy. Natomiast pismo to zebrało Nr. 245 i 249 obfity zbiór wiadomości dotyczących postępowania Greissa z dziećmi.

Nawet p. Dembowski, w odpowiedzi na interpelację w sejmie z powodu sprawy Żulińskiej, stwierdził że niestety fakt bicia dzieci przez Greissa nie jest wykluczony. Zaprzeczył tylko temu aby nauczyciel ten miał zabić Kochańczyka.

Pisma polskie wspominają o tem, że ludność rusińska z góry planowała z walkę z Greissem, że go szykanowała w dotkliwy sposób i t p. Wszystko to jest możliwe, nie wyklucza jednak tego że sam Greiss mógł się znęcać nad dziećmi.

Osoby które świadczą że tak było istotnie wiedzą przecież, że mogą być karane za oszczerstwo, muszą więc mieć dowody na poparcie swych twierdzeń.

Śledztwo sądowe wyjaśni niezawodnie dużo w tej sprawie.

Ludność Żulina składa się prawie wyłącznie z Rusinów, jest ich (95%) i trudno zrozumieć dlaczego Rada Szkolna Krajowa wyznaczyła tam nauczyciela Polaka. mogąc posadę tę oddać Rusinowi, czego ludność się domagała.

Był to więc pierwszy błąd.

Następnie wiadomem jest, że, pomimo zakazu ustawowego, w Galicji w szkołach ludowych prawie powszechnie biją dzieci. Winą więc jest Rady Szkolnej Krajowej że nie zwalcza należycie tego „zwyczaju”.

W roku zeszłym głośną była analogiczna sprawa w Galicji. W Sokołówku pod Złoczowem nauczyciel ludowy Siarkiewicz bił dzieci kijem. Sprawa ta podniesiona została w sejmie. Ale p. Dembowski nietylko nie pociągnął nauczyciela do odpowiedzialności, ale dał mu nawet lepsze miejsce w Olesku.

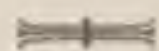
Tak więc zamiast łączyć p. Greissa ze sprawą polską, zamiast wysilać się na jego obronę, należy energicznie zbadać całokształt stosunków szkolnych w Galicji i zwalczać kary cielesne. Przedewszystkiem zaś należy oddalić p. Dembowskiego z zajmowanego przezeń stanowiska. Urzędnik ten, zamiast zwalczać rozmaite barbarzyńskie środki pedagogiczne, zajmuje się prawomyślnością nauczycieli ludowych i nieludowych.

Za czyny Greissa naród polski, ani nawet społeczeństwo polskie w Galicji nie może być odpowiedzialne. Poszczególnie objawy barbarzyństwa zjawiają się w społeczeństwach najbardziej kulturalnych. Naród nasz jednak stałby się odpowiedzialnym za czyny Greissów, gdyby, z powodu źle pojętego patrjotyzmu, starał się ukryć prawdę, utrudnić dochodzenie i bronić tego rodzaju indywiduum.

Prasa nacjonalistyczna tak właściwie postępuje, Rusini dali należytą odprawę hr. Bobryńskiemu, wyśmiewając jego „patrjotyczną” działalność i zaznaczając, że myli się, gdy zalicza ludność Żulina do narodowości rosyjskiej.

Ludwik Kulczycki.

BADANIA NAUKOWE.



Limanowski o Worcellu

(Dokończenie).

W kwestji narodowościowej — twierdzi Worcell,—„ideałem do jakiego każdy dążyć powinien, musi być rodzime braterstwo, czyli zcentralizowanie; ideałem człowieczeństwa, braterstwo ludzi przez stowarzyszenie narodów, czyli federacja". Z cytaty tej wynika, iż naród powinien dążyć do harmonji poszczególnych klas, ludzkość do harmonji między poszczególnymi narodami. Było by to niezupełnym przedstawieniem poglądów Worcella, jeżelibyśmy pominęli jego stanowisko wobec zagadnień własności.

„Własność" — podług Worcella — „w pojęciu socjalnym i postępowym jest rodzinną i względną" — a przytym niepodległą, w pojęciu zaś dawnym wstecznym, albo bezwzględną i osobistą, albo też nadaną, a przeto uprzywilejowaną, służebną. Zródłem własności socjalnej: praca;władanej: koncesja". (str. 251)

Jak widzimy więc *Praca* ma być miernikiem posiadanych własności, a więc Worcell wypowiada się przeciw wszelkim uprzywilejowanym własnościom, koncesjom, prawom dziedziczenia i t. d. Jest jednym z pierwszych pionierów walki o „porównanie kondycji socjalnych„.

Ciekawe, iż chrześcijaństwo jest jedną z busoli tej walki o braterstwo i równość. „Lud polski" w odezwie swojej wypowiada charakterystyczne zdanie „niszczyć to wszystko, cokolwiekby dążyło do utrzymania kondycji socjalnych, obalając stan dzisiejszej społeczności, dozwalający ciągnienia jednym korzyści z drugich Do tych celów oddajemy całe jestestwo nasze z tym poświęceniem, które jako słowo zbawienia społecznego, wyrzeczone przez Jezusa Chrystusa za warunek i podstawę przyszłą społeczeństwa uważamy" (str 134) „Symbol bowiem powszechnej równości, wyrzeczonej przez Jezusa Chrystusa zaprowadzi braterstwo. (str. 134)

Dodać należy, że grupa ta była socjalistyczną organizacją, że prowodyrzy jej Worcell, Krępowicki, Podolecki byli pierwszymi krzewicielami jej zasad. Powstaje pytanie jakie ideje naukowe prowadziły do zajęcia takich a nie innych stanowisk? Zdaję się, że najdokładniej poinformuję co do teoretycznych założeń rozprawa Worcella o „Własności" — jak i ten specjalny charakterystyczny nurt w myśli lat 40, 50-ych który usiłował pogodzić ideje chrześcijanizmu z nauką.

Worcell wychodzi z założenia, że „historja wytwarza swoje własne prawa, które usuwają się z pod działania praw przyrodzonych" (str. 164) I dla tego twierdzi on, naprzykład, że własność „nie jest prawem natury, lecz jest młodszą od społeczeństwa i musi jego prawom ulegać, musi być postępową". Wywodzi dalej, że „własność się zmienia, tak co do kształtu swego i granic, jako też co do natury i skutków! I zapytuje: „W cóż wobec tego niezaprzeczonego faktu obróci się owa święta jej nietykalność jaką stronnicy przeszłości wbrew nawet społeczeńskiemu wszechwładztwu zapewnić jej usiłują?"

Co więcej Worcell sądzi, że własność prywatna jest pozostałością poganizmu. Stary poganizm z ołtarzy ustąpił, obwarował się we własności i stamtąd, jak z ostatniej swej twierdzy egoizm przeciw poświęceniu, prawo rodu przeciw prawu braterstwa obronić usiłuje.

Jako historjozof Worcell, wychodząc z założenia teologji katolickiej, dzieli historję ludzkości na epokę pogańską i chrześcijańską. Nie jest on odosobnionym pod tym względem w literaturze. Pierwsza połowa dziewiętnastego wieku bardzo często mieszała się do idealizowania chrześcianństwa. Chciano przez odrzucenie historycznych grzechów kościoła ratować światopogląd chrześcijaństwa, ideje braterstwa wynoszono na piedestał pierwszorzędnego znaczenia. Czym faktycznie jednak to idealizowanie było zdajemy sobie doskonale sprawę. Kościół odrzucił „idealizmy", a idealizatorów wyklął. Ostatnia encyklika „Boromeus" dodaje kilka doskonałych wskazówek dla tych co się jeszcze łudzą, że się uda coś w tej ruinie uratować.

Worcell bigotem w sensie katolickim nie był. Była to natura ekstatyczna, religijna, artystyczna. Idealista, jak kryształ przejrzysty, niósł wszystkie swoje indywidualne zdolności na ołtarz umiłowanej sprawy, wyrzekł się ewentualnych korzyści, jakie by mógł mieć, przyjmując amnestję. Umarł w roku 1857 dnia 3 lutego. Przy ostatnich chwilach jego byli obecni Mazzini i Hercen. Towarzystwo tych ludzi już samo jest zdolne zaświadczyć z jakim typem ludzkim mamy do czynienia.

Limanowski opowiada niezmiernie ciekawy epizod z chwil ostatnich Worcella. Wieść niesie, iż Worcell umierając zażądał od Mazziniego by przysiągł mu, że naród włoski nie zapomni krzywd polskich. Mazzini przysiągł. Scena ta zaiste godna uwielbienia w bohaterskim dramacie jakiegoś genjalnego poety.

Pracę Limanowskiego uzupełniają druki oryginalnych dwóch prac Worcella „o Własności" i „o Związkach". Kto więc chce, może bez zbytniego trudu po przeczytaniu sprawdzić ideje Worcella. Limanowski wywiązał się z zadania nader sumiennie. Liczne dopiski jakimi książkę opatrzył, świadczą, iż wyczerpał wszelkie możliwe źródła. Płodną działalność swego życia zbogacił nowym pożytecznym dziełem, będącym cennym dorobkiem kulturalnym. Należy mu się za to cześć i szacunek ze strony całego myślącego ogółu Polski nowoczesnej.

Eustachy Czekalski.

LITERATURA i SZTUKA.

Syn Marnotrawny. 2)

(fragment groteskowy).

Stanowisko kanclerza zaskoczyło Syna Marnotrawnego zbyt niespodziewanie. Sądził z początku, że nie podoła trudnemu zadaniu. Wezwał jednak na świadki niebo, że zawsze, ilekroć stykał się z życiem społecznem, widywał bezczelność i głupotę, ubrane w strój ceremonjalny, i zuchwale wkroczył do gabinetu, gdzie ważyły się losy poddanych Zielonopłaszcza.

Natężał własny mózg, a prócz tego starał się otoczyć ludźmi, których natura nie upośledziła na umyśle. Słuchał chciwie rad i doświadczenia. Starał się wycisnąć słodycz nawet z soków zatrutych...

Królowa wzięła Syna Marnotrawnego pod swoją opiekę. Gdy zasiadał na stolcu kanclerskim, w grubym łańcuchu na szyi i uroczystej skędzierzawionej peruce, przeglądając z miną posępną papiery wobec wyprostowanych jak drągi pokojowców, dawał się nieraz słyszeć szmer sukni jedwabnej i wchodziła najjaśniejsza pani z uśmiechem na ustach, z poza których białe lśniły zęby. Przeglądali razem sprawy urzędowe, a gdy wyczerpano porządek dnia, znikali drągale-pokojowce, a Syn Marnotrawny zostawał sam na sam z królową.

— Obawiam się, najjaśniejsza pani, czy wysoki urząd nie zepsuje mego charakteru. Słyszeć ustawicznie pomruk pochlebstwa i czuć, że serca wszystkich są przed tobą zamknięte, że za płaszczący się uśmiech każdy pragnąłby rzucić ci kamień pod nogi,

aby cię ujrzeć powalonym, czyż to jest dobra szkoła życia w chwili, gdy się ma lat dwadzieścia pięć i czuje się w głębi piersi nieustanne nurtowanie tęsknoty...

...Do czego? — pytasz pani... Do kwiatów na wzgórzu... Do drogi w lesie, gubiącej się wśród sosen i szafirowych (!) paproci... Do ptaka, który ulata na spotkanie obłokom... Ach, nie będę się krył przed tobą, najjaśniejsza pani, do białych rąk i twarzy tych wszystkich młodych kobiet, z których każda mogłaby mnie kochać, a żadna — nie kocha mnie...

— Czy pan pisze pamiętnik?—spytała królowa.

— Nie, pani.

— Zacznij pan pisać. Jesteś poetą. Czemu tyle pięknych wzruszeń ma ginąć daremnie. Będę go odczytywała razem z tobą. A jeżeli tak bardzo pragniesz życia, natury i świeżych powiewów—wszystkie drzwi przed panem są otwarte. Wieczór się zbliża, dzień jest piękny. Złóż pan te foljały. Pójdziemy przez ogród na brzeg rzeki i dalej w głąb lasu, gdzie król dawniej lubił polować. Może upoluje pan jaką nową tęsknotę i spłynie zaszczyt na królowę, że była wtedy z panem. Doprawdy, interesuje mnie charakter pański.

* * *

— Cóż to za dziwny ogród na tem zboczu górskiem?—spytał Syn Marnotrawny.—Drzewa owocowe stoją, a żaden parkan nie ochrania ich przed złodziejem. Niektóre z kory obdarte, obszerne dziuple, pełne próchnicy, wykroty omszałe. Stado kruków krąży nad nimi. Ziemia w wielu miejscach wyłysiała, a w innych zarosła ostem. Nigdy nie widziałem tyle ostów i łopianów. A ten staw zakrzepły, jak kaprawe oko starca?

— To „Pusty Sad" — rzekła królowa. Ma on swoją historję. Ale naprzód zwiedzić musimy kotlinę „Siedmiu Źródeł".

Po kilku minutach — usiedli. Wysoka skała, na której płoniły się maki i głogi, otaczała ich półkolem. Siedem źródeł tryskało z białawych rozpadlin, wypełzało srebrnemi strugami z pod ziemi i zlewało się w jeden jasny czysty strumień.

Maleńki ptak przyfrunął, aby się wykąpać. Trzepotał, mył piórka. Pośpiewywał sobie, nie zwracając uwagi na królowę i Syna Marnotrawnego

— Widziałeś pan „Pusty Sad"... Niegdyś był to ogród wielki i piękny. Po stawie pływały łabędzie. Córka królewska — miała być przedziwnej urody— zakochała się w paziu. Wielu możnych rycerzy i jasnych panów starało się o jej serce i rękę. Ale ona kochała tylko pazia. Widywali się codzień, w ogrodzie. Raz nie zastała go na zwykłym miejscu. Zaniepokojona szła z biegiem strumienia i zaszła aż tu do „Siedmiu Źródeł". I cóż ujrzała? Na skale w blasku księżyca siedział paź, a siedem nagich kobiet pieściło go i całowało. Królewna krzyknęła i upadła. Serce jej pękło. Umarła. Odtąd sad zagłuchł. Kruki nadleciały. Zarósł głuchą wysoką trawą, w którą spadają pęknięte owoce, a nikt ich tknąć nie śmie, jak ust zarażonych. Jest w tym sadzie kamień, poświęcony jej pamięci nad zakrzepłym stawem. Odtąd wielu mężczyzn chodzi pokryjomu do „Siedmiu Źródeł" w nadziei, że nagie kobiety ukażą się znowu i popieszczą. Czy wie pan, że raz zastałem tam nawet... Zielonopłaszcza!...

Królowa zaczęła się śmiać. Syn Marnotrawny również się uśmiechał.

Ta pierwsza wycieczka z królową napełniła go radosną otuchą. Gdy usiadła — już późnym wieczorem — na ławce i księżyc „napełnił cały ogród przedziwną atmosferą milczenia i zadumy", młodzieniec, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, ukląkł u jej stóp i pochylił głowę. Jego młodą duszę przepełniała tęsknota, słodycz i zapamiętanie...

— Więc to jest miłość?... szepnęła królowa.

On nie rzekł nic. Chciał, żeby stanęły wszystkie zegary na wieżach i jego serce. Pragnął, żeby zamilkł turkot oddalonego wozu, głos koguta, opiewającego godzinę nocy, szmer liścia, trzepot owadu.

I udało mu się wysiłkiem woli stłumić na chwilę wszelki głos i przebywać w królestwie zaklętej, uroczej ciszy.

Szelest kwiatu przerwał milczenie. To z łona królowej spadła ciężka wonna róża i musnęła go po twarzy.

Podniósł kwiat i chciał oddać, lecz ona nie wzięła go.

Usłyszał nagle, jakoby obudziła się noc. Sowa krzyczała żałośnie. Księżyc zapadał w chmury, niby w czarne welony smutku. Strumień lizał brzegi z pożądliwym bulgotem.

Ujrzał w osłupiającym przejrzeniu, że królowa jest kobietą olśniewającego uroku. Dotknięcie jej ręki oblało go żarem. Nie mógł patrzeć bez namiętnego przerażenia na białość jej skóry. Jej piersi i czerwone usta wołały go.

Ogarnęła go gorączka zmysłowa o tak gwałtownym napięciu, że wszystko inne stłumione było i usunięte na bok. Przez całe tygodnie żądza ciemnego okrucieństwa i tkliwość na przemian brały go w posiadanie. Być zuchwałym lub niewolniczo uległym w obec niej stało się dziwną upajającą potrzebą. Wiedziała o tem. Parna noc ogarnęła go na widok wpatrzonych w niego szeroko otwartych oczu królowej.

* * *

Pewnego dnia Syn Marnotrawny zasiadł z Gardziplujem do uczty. Otyły opat zaczął myszkować po komnacie. Podniósł zasłony u okien, zajrzał za parawan.

— Co robisz, ojcze? — spytał Syn Marnotrawny,

— Oglądam, czy nie zakradł się tu jaki moralista. Trzeba zaprosić go do uczty, a jeżeli odmówi— wyrzucić za drzwi.

— Co do mnie, ojcze, to w dzieciństwie, czułem obawę do ciemnych wietrznych nocy, a dziś — do zbyt natrętnych zasad moralnych. Nie lubię natarczywości moralnej i patosu. Nie lubię również rozprawiać zbyt wiele o ideach, bo wtedy błądzę po omacku.

— A cóż ty lubisz, mój synu?—spytał opat.

— Lubię parę, jej siłę i pęd gwałtowny. Patrz ojcze, jak niepohamowanie bucha z tego naczynia. Lubię ogień czysty, rozświetlający ciemności, znać o sobie dający zdaleka. Lubię jego wesołą tajemniczość, w której pląsa złoto, odblaski rubinów i ametystów. Lubię go więcej, niż obłudnicę, cichą wodę, w której śmierć czycha. Lubię obłoki, a z księżycem jestem w przyjaźni. Oddawna zachwyca mnie jego samotność i wspaniałe przygody romantyczne wśród chmur i obłoków... Lubię kwiaty, wino, odbierające nam płaską trzeźwość i półnagie, obwieszone klejnotami — a wcale nie obłudne — kobiety, których ciało pachnie, jak pysk młodego szczenięcia.

— I ja — rzekł opat, rozkładając ręce i przymykając oczy choć nie wypada mi mówić tego głośno. Pochwalmy Boga i zabierzmy się do jedzenia. Cóż to za zapach olśniewający tych krwistych pomidorów! Patrz, ciało tej ryby z koloru podobne jest do rubinu. Co za przedziwną, łaskoczącą lekko woń wydaje ta młoda srebrzysta cebula! Barwą przypomina cielistość i lśnienie ramion pewnej damy — jednej z powiernic królowej. (Radzę ci — przyjrzyj się tym ramionom: prawdziwe to arcydzieła). Dalej: z czemże się da porównać wytworny aromat ananasów? Albo podniecająca, uszczypliwa świeżość startego pieprzu? (Umyślnie biorę rzeczy proste, mój synu, abyś tem snadniej ujrzał wielkość Stwórcy nawet w tych darach, które lekceważy niejeden chudy mędrzec). Cytryna rozpłakała się złocistymi łzami. Puść sobie na język jedną jej łzę, a sykniesz z rozkoszy, jak ukąszony przez kochankę. To wino opalowe i rżnięta mi-

sternie karafka jakże dobrze się dobrały! Weź, mój chłopcze, w palce tę wonną wstydliwą brzoskwinię i popieść jej meszek. Nie wiem, czy tak miłą w dotknięciu skórę ma górna warga królowej naszej pani (niech nam żyje najmiłościwiej!).

* * *

Raz Syn Marnotrawny wybrał się z królową w inną stronę — na brzeg rzeki. Zawiewał wietrzyk i woda się siała. Nagle w miejscu zacienionym krzewami natknęli się na trup topielca. Sine, mokre plamy na policzkach, a z pośród ciemnych spuchniętych dziąseł patrzyły zęby krzywe i ostre.

Był w ociekających łachmanach. Roje lśniących much unosiły się nad otwartą gębą.

Przez rzekę widać było ogród willi podmiejskiej. Młoda panna w różowej sukni siedziała na huśtawce. Obok stał młodzieniec. W jednej ręce trzymał wachlarz, drugą — popychał deskę.

Kanclerz państwa na ten widok uczuł się niezmiernie wymownym:

— Cóż to za biedak leży tu na piasku z gębą tak śmiesznie otwartą, a muchy roszczą do niego hałaśliwe pretensje? Widocznie nędzarz, któremu sprzykszyło się sypiać pod arkadami mostów i karmić swym ciałem trzodę robactwa. Zapewne jeden z tych, których świat miętosi po więzieniach. Już od urodzenia podstawiono mu nogę, obdarzając, naprzykład, pięknym dziedzicznym nałogiem nieuleczalnego pijaństwa. Później wyzyskiwano srodze każdą jego słabą chęć pracy społecznej, aż biedaczysko dorobił się silnej neurastenji. Ileż głuchych walk stoczyć musiał ten człowiek z demonem życia, zanim uległ i stoczył się w paszczę śmierci. Ileż głupstw sentymentalnie moralnych obiło się o te uszy opuchłe, które już oto ponadgryzały robaki. A może jest to naiwny kochanek lub mąż, który w ten sposób niewinny chciał pomścić zdradę niewiernej? I oto leży jak kloc, podczas gdy para zakochanych — prawdopodobnie głuptasków — deklamuje po tamtej stronie o wiecznotrwałości swych uczuć płomiennych. Patrz pani: rzeka lśni, niebo czyste jak szafir, on buja ją wśród drzew zielonych... Pieszczotliwie chłodzi jej twarz wachlarzem, a jednak, gdyby nawet kochał tak, jak nikt dotąd nikogo, nie wydrze jej śmierci dziś, jutro lub kiedyś... Och, śmierć! Nie wymkniemy się z tej matni...

Królowa zachwiała się. Objął ją silnym ramieniem i zapobiegł upadkowi. I niby cios w pierś wroga spadły na jej szyję usta jego — głuche, jak szczęki wygłodzonego wilka.

Otoczyła go natychmiast ramieniem i znalazła wargami jego wargi.

Gdy się wydarli z męczącego rozkoszą pocałunku — Syn Marnotrawny szepnął:

— Pani, mąż twój musi być obezwładniony.

Zatrzymała się na chwilę. Zawisła na nim spojrzeniem, w którym był biały głodny podziw:

— O, jakimż jesteś pan niegodziwcem!

— Nie jestem niegodziwcem: kocham cię!

— Ty mnie kochasz? Ty? Czy to być może?

Starał się całym wysiłkiem woli zanalizować swój stan i położenie. A więc naprzód okrzyk królowej nie był królewski. Obudził w niej marę niewolnicy, poszukującej pana. Pomyślał, że król musiał sprawić pewne spustoszenie w tej duszy i wyplenić z niej wysoką godność niewieścią. Pozatem czuł, że jego wyznanie wydarło się wbrew woli jako wierutne kłamstwo. Lecz był odurzony. Chciał rzucić się z zamkniętymi oczyma w parną przepaść, zabić rozsądek, czuć się porwanym przez olśniewający potok namiętności, runąć w głąb żywiołowej roskoszy, jak w krater wulkanu, a potym stanąć szalonymi stopami na przylądku „Nowego Doświadczenia".

Nie było w nim uroczystej wiary, lecz przekorna chuć kłamstwa:

— Pani, każdy krok uczyniony przez tę poczwarę ku twojej ręce, każde dotknięcie tych ust zwiędłych do twoich dłoni mrozi mi krew w żyłach. A gdy pomyślę, że on może cię brać w ramiona i posiadać, jest to dla mnie taką torturą że nie chcę znosić tego dłużej. Czy człowiek o zdrowych zmysłach może kanclerzem mianować nieznanego cudzoziemca, składając w ten sposób losy państwa w ręce niedoświadczone? Ach, odetnij pani od siebie ten grzyb, który trującymi sokami zaraża nas oboje. Trzeba się odgrodzić od jego szaleństwa i ekscentrycznych niespodzianek, jakie zgotować może ludowi.

Dalszy ciąg spisku utonął w zaklęciach i pocałunkach.

Dziś przed północą — rzekła wreszcie królowa — Zielonopłaszcz zostanie osadzony w wieży dla obłąkanych. Zrobię to przy pomocy oddanego mi bez pamięci kapitana gwardji pałacowej. Potem będzie trzeba proklamować moją rejencję. Lud — jak sądzę — przyjmie to wszystko apatycznie. A wdowa po królu — dodała, opierając się na młodzieńcu oczyma rozjaśnionymi do głębi — spróbuje przeżyć raz jeszcze tajemnicę pierwszej nocy... nieślubnej...

(C. D. N.) *Leon Choromański.*

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

Ostatni utwór G. Zapolskiej.

Panna Maliczewska. Szt. w 3 akt. Gabryeli Zapolskiej.

Dziwnie bo niekiedy wyglądają sensacje, a sensacyą dnia na scenach galicyjskich stała się ostatnia sztuka Gabryeli Zapolskiej. Smutna, szara codzienność życia dziewczyny, która podług wyrażenia siostry jest już po za społeczeństwem, powiada nam, że tak się dzieje codzień, tylko-my o tem wiedzieć nie chcemy.

Problemat kobiety kupczącej miłością, poruszany tylekroć na scenie, w powieści, publicystyce miewał dotąd zawsze pewną grozę i nieodłączny od niej romantyzm. Pociągał, bo był w nim urok rzeczy niepowszedniej, okrasa uczucia, lub konflikt wrogich po za jednostką stojących sił społecznego ustroju. Nawet w powieści „O czem się nie mówi" wysunęła p. Z. konflikty ustroju społecznego i usiłowań upadłej duszy do odrodzenia, i tam dała nam psychologię dwojga szczerych, łamiących się z życiem istot. W sztuce obecnej zaś p. Zapolska podejmuje trudniejsze zadanie i przyznajmy, wychodzi z niego zwycięsko. Całe trzy akty wypełniają loty dziewczyny, która nie jest ani złą, ani dobrą, ani tak piękną czy namiętną by o ciało swoje walczyć musiała. Jest tylko trochę lekkomyślną, idzie w kierunku najmniejszego oporu i jak sama powiada ma ambicję. Biedną ambicję, która dąży do otrzymania roli na scenie, gdzie Maliczewska była 3 lata statystką. Dziewczyna nie kocha się i do miłości nie wzdycha, z całym rozsądkiem odpycha czyste uczucie młodego gimnazisty. Ludzie, których spotyka liczą się przedewszystkiem z groszem. Pomimo opiekunów wiecznie głodna, w skąpo opalonem i źle umeblowanym mieszkaniu, w przykrótkich wcale nieeleganckich sukienkach, walczy z małymi dłużkami żydowskiemi, a przed sekwestratorem broni się stale faktem, że z otaczających ją skromnych mebli nic do niej nie należy.

„Psia krew i tak być musi zawsze" oto okrzyk, którym się sztuka kończy.

Z tej szarej niezajmującej nędzy, dzięki znakomitej obserwacyi i wybornej technice uczyniła p. Za-

polska tworzywo dramatyczne, które stale przykuwa uwagę widzów, odczuwających życiową prawdę sytuacji i doskonałą ścisłość psychologiczną pojedynczych postaci.

Suteryna z pierwszego aktu, w której mieści się u gospodyni praczki, a jednocześnie kuplerki ułatwiającej nabycie młodej dziewczyny podstarzałemu lowelasowi, ciemna, wilgotna, ustępuje w aktach następnych miejsca mieszkaniu, które dalekiem jest od uosobienia gniazdka miłości, a nawet jamy rozpusty. Stworzył je bogaty sknera, filister, a dziedziczy przyjaciel jego filister takiż sam, choć pozornie weselszy i żywszy. Oboje oni traktują dziewczynę jak nabyty towar, usiłują jak najmniej na nią wydawać i jak najusilniej ukrywać miejsce swych schadzek.

Filistera omnipotens tak strasznie schłostana w cyklu Dulskich ukazuje się nam tu z innej strony, nawet nie w karykaturze, ale z realną i konsekwentną prawdą. Zresztą galerja filistrów nie ogranicza się do obu starszych lowelasów. Filisterską duszę ma i praczka, bo przecież filister zdolny jest do zbrodni, o ile pewnym będzie ukrycia jej i bezkarności, filistrem jest mieszkający u niej uczeń, Edek, bo bieda, konieczność zakuwania się przez odrabianie za pieniądze zadań dla współkolegów nie pozostawiają mu czasu, ani myśli nawet na pokusy. Filisterkami w roli społeczniczek, ratujących kobiety upadłe są i damy odwiedzające Maliczewską, które przecież zgodnie z ustawą stowarzyszenia, wkraczają dopiero wtedy, gdy dziewczyna stoczyła się do roli utrzymanki. Satyra na te zabiegi pań miłosiernych jest niezwykle udatną.

Czy jednak słusznie, aby i sama bohaterka, panna Maliczewska nie miała w duszy swej ani skry poezji? Młodość jej przejawia się tylko raz i to całkiem instynktownie, gdy otoczyła ją młodzież w mundurkach, jej klaka. Czy takie wrodzone filisterstwo nie doradziło by jej porzucić sceny, na której przecież niczego się nie doczeka? Widz napróżno wygląda jaskrawej nuty, autorka jest konsekwentną w swem założeniu. malowania szarzyzny.

Sztuka graną była bez zapału, ale w żywem tempie, dekoracje jak zwykle na krakowskiej scenie umiejętnie dopasowane zostały do treści.

Dr. Z. D. Golińska.

„Rusałka“

Pewna część prasy orzekła stanowczo, że „Rusałka” wystawiona świeżo w Teatrze „Rozmaitości„ jest w dorobku literackim p. Stefana Krzywoszewskiego — utworem najlepszym. Niatomiast lwia część prasy (bynajmniej nie z samych lwów złożona) niemniej stanowczo twierdzi, że jest to jego utwór najsłabszy. Widocznie, najlepsze dzieła p. Krzywoszewskiego nie bardzo różnią się od najgorszych dzieł p. Krzywoszewskiego *Maximum* jego talentu i *minimum* jego talentu—to wielkości tak zbliżone do siebie, że ludzie pomylili się przy ich rozpoznawaniu. Przypominają one owych dwu braci bliźniąt z bajki Twaine'a, tak łudząco do siebie podobnych, że gdy jeden wpadł w rzekę i utonął, drugi nie wiedział, czy to zginął brat jego czy też on sam. Możnaby przypuszczać że talent p. Krzywoszewskiego jest matematycznym zerem; bo tylko ono posiada tę osobliwą własność, że wartość jego dodatnia równa się wartości ujemnej: (+0=—0). Atoli miast rozumować abstrakcyjnie, przyjrzyjmy się sztuce.

Zgraja wynaturzonych magnatów na wyścigi manifestuje swe lenistwo, głupotę, rozpustę, kłamstwo, upodlenie. Zawarci w małej, zamkniętej grupie, nawzajem uwodzą sobie żony, siostry, córki, okradają jedni drugich, popełniają nikczemności, jedzą ostrygi i biadają nad upadkiem religji śród ludu. Obraz intensywny aż do karykatury, jednolity aż do monotonji. Wszyscy ci ludzie, hrabiowie, książęta i książątka żyją i oddychają pod ciśnieniem dwudziestu atmosfer ohydy moralnej i pod klątwą fizycznego znieprawienia. Wszelako twierdzenie, iż arystokracja nasza w swym zespole przestała być kwiatem narodu, stała się zaś jego pleśnią pasorzytniczą, nie jest odkryciem kulturalnym p. Krzywoszewskiego. Wszak nawet p. Weyssenhoff w swych powieściach zdobywa się na bezlitośną krytykę naszych „rodów historycznych”.

Nie chodzi tu więc o sam fakt satyry lub krytyki, ale o to w imię czego się krytykuje; co się owej zgniliźnie magnackiej przeciwstawia?

P. Krzywoszewski przeciwstawia jej nagie ramiona leśnej, tęgo zbudowanej dziewczyny. Niewątpliwie jest to to argument jędrny, może nawet niepokonany; niewątpliwie—rajski kostjum p. Lubicz-Sarnowskiej tak szczerą świecący nieobecnością na jej elokwentnych kształtach pomnaża wielokroć doniosłość tego argumentu; mimo to jednak ściąga on na siebie dwa zarzuty bardzo poważne: 1) odwołuje się do sfer w organizmie nic wspólnego nie mających ze sferą myślenia; 2) uderza w próżnię, posądzając arystokrację o brak zmysłu estetycznego dla zewnętrznej harmonji; o chłód i obojętność na gorące pokusy rusałczanej, świeżej dziewiczości. Czyż tępa niewrażliwość na tryumfalną krasę młodego ciała leśnych lub polnych nimf jest najcięższym grzechem arystokracji? A cóż innego, poza urokiem powierzchownych wdzięków natury, reprezentuje postać Rusałki? Sprawiedliwość społeczną? — Ta istnieje poza nią Cnotę wstrzemięźliwości? — Tej kochanka fauna nie rozumie. Postęp kulturalny? — Ależ Rusałka, choćby z uwagi na swój ubiór, jest wzruszającym wzorem pierwotności.

Mogłaby ona uosabiać nieujarzmiony, dziki czar stepowej, cudnobarwnej poezji, wydarty z łona puszcz i przez brutalną przemoc uwięziony w złotej klatce wielkopańskiego pałacu; ale wówczas innego nabrałaby znaczenia wymowa „Rusałki”: ostry grot jej satyry zwróciłby się już nie przeciwko arystokracji, ale przeciw potędze filisterji, która. jak świadczy przykład p. Krzywoszewskiego, krzewi się nie tylko w gniazdach „rodów historycznych”.

W. Rzymowski.

NA DOBIE.

Po zgonie Tołstoja.

Rosja pokryta żałoba. Wszystkie lepsze pierwiastki dusz ludzkiej wstrząśnięte bólem oderwały się w masach i rozbrzmiewają głębokim żalem po zgonie wielkiego człowieka, apostoła miłości i sprawiedliwości — Mędrca jasnopolańskiego. Wszystkie grupy i warstwy społeczne, cała prasa (z wyjątkiem czarnosecinnej) zamanifestowały swe uczucia żalu i przywdziały żałobę.

„Jak żywot tak i mogiła Tołstoja — pisze *Sowremiennoje Słowo* — będzie godłem braterstwa ludów, jedności powszechnej... Głos jego rozlegający się po całym świecie, wrażał ludziom myśl niecofnioną, że wszyscy są braćmi, że życie ich powinno się opierać na sercach miłości ewangelicznej. Ten głos nie zamilkł i nie zamilknie”.„ Wielki żywot — pisze *Riecz* — nie mógł, nie powinien był zakończyć się pospolitą śmiercią. Tołstoj nie mógł umrzeć jak wszyscy. Musiał umrzeć jak Tołstoj... Wątły, niestety, starzec wyszedł jak król Lear, z domu w noc ciemną. Pozostał w pustyni sam ze swoją myślą szaloną... Tołstoj sposobił się do ostatniego aktu żywota, szukał odpowiedniego otoczenia... Nie tak i nie tutaj, ale gdzie bądź na osobności, z samym sobą, zdala od ludzi, kryjomo, wszystko jedno, czy w monasterze, czy pod płotem.

I wszyscy odrazu pojęli i uczuli, że ten olbrzymi wysiłek woli jest ostatni, że to już koniec. Wszyscy zrozumieli że wielki Tołstoj poszedł umrzeć"...

„Uciekłeś od fałszu i zwycięzkiej przemocy—woła Rodiczew (w *Rieczy*), — przez śmierć wkroczyłeś w nieśmiertelność... Imieniem twoim będzie się szczycił naród twój. Zwracając się na wszystkie strony świata, ku wszystkim narodom i plemionom ojczyzna twoja powie: „Oto prawdziwy syn mój, apostoł miłości i pokoju. Przy nim wiara moja i smutek i serce moje i przy jego przyjaciołach i braciach, przy uciskanych i prześladowanych"...

Pierwszym odruchem, pierwszą myślą — pisze *Utro Rosji* — na żałosną wieść o zgonie Tołstoja była myśl o żałobie narodowej. Przybrać wszystkie domy krepą na trzy dni, zawiesić zabawy i widowiska, przerwać zwykłe zajęcia, uczcić pamięć nieboszczyka szeregiem wieców — oto byłaby skromna dań na mogile powszechnego i narodowego genjusza. Ale czyż dałoby się to wykonać wobec naszego drętwienia i naszych warunków bytu?. Jesteśmy przeświadczeni, że niema teraz w Rosji człowieka, któryby nie nosił w duszy żałoby"...

„Od kiedy literatura rosyjska stanęła na nogach— piszą *Ruskije Wiedomosti* — nie było pisarza, któryby wywalczył dla nas tyle miejsca w umysłowości Europy. Poprzednicy jego zbliżyli Rosję do Europy; genjalny artysta — myśliciel zbliżył Europę do nas... Literatura rosyjska, mało cudzoziemcom znana, za przewodem Tołstoja przebiła mur, odgradzający nas od Europy?...

„W imie Tołstoja cywilizacja i kultura — pisze *Peterburgskij Listok* — przebacza wogóle Rosji. W dniach poniżenia i splugawienia narodowego, za dni Cuszymy, Mukdenu i Laojanu, nie utraciliśmy godności ludzkiej i dla tego, że w głębi Rosji powiewała chorągiew prawdy, sprawiedliwości, szczerości, miłości bliźniego, żądzy Boga. Chorągiew tę, za sto pięćdziesiąt miljonów ludu, dzierżył w trzęsących się rękach sam mądrzec jasnopolański. Kto wzniesie ten wielki sztandar, wypadły ze zmartwiałej dłoni?"...

Przez ten chór podniosły przebija się syk plugawych gadów, które usiłują zbezcześcić wielkie imię. Te same gady reakcji, które za życia olbrzyma prześlizgiwały się pod jego stopami, obecnie usiłują wpełznąć na świeżo usypaną mogiłę.

Z powodu wystąpienia Zamysłowskiego w Dumie, *Sowremiennoje Słowo* pisze: „Imiona odstępców i wyrodków społeczeństwo rosyjskie powinno zapamiętać. I kiedy ci przedstawiciele „narodu" i patrjoci będą przemawiali z wyżyn trybuny sejmowej o Rosji i narodzie rosyjskim, o sławie Rosji, słowem o wszystkim, czem frymarczą, — powinniśmy pamiętać, że przemawiają ci sami, którzy protestowali przeciwko uczczeniu pamięci Tołstoja w chwili, kiedy cała ludzkość schylała głowę przed grobem wielkiego i nieśmiertelnego syna Rosji".

W chwili kiedy jeszcze ciało nie spoczęło w grobie, *Ruskoje Znamia* odważyło się na czele numeru zamieścić wiersz niejakiego Katemskiego p. S. „Heretykowi Lwu Tołstojowi": „Genjuszu, wysławiany przez żydów i masonów! do ciebie zwracam się w godzinę śmierci, do ciebie znieprawicielu dwu pokoleń, któryś wielu z nas unieszczęśliwił. Bezwstydny i nędzny odstępco od wiary! Długoś i dobrze służył szatanowi; łotrowstwom twoim niema końca i miary"...

Tak! łotrowstwom niema końca i miary! Gdyby one miały hamulec, nie odzywałyby się takie głosy, zamarłyby w cuchnących gardzielach. Ale czyż można czegoś lepszego się spodziewać tam, gdzie patrjota swoją inteligencję nazywa „swołoczą" — na posiedzeniu parlamentarnym, a prezes tego parlamentu swoim zachowaniem całkiem się solidaryzuje z wystąpieniem Puryszkiewiczów?

Dwaj odstępcy.

Olbrzym Północy legł w grobie bez kadzideł urzędowego pietyzmu i bez namaszczeń rytualnych, które gestem stygnącej dłoni uchylił od siebie, jak odgania się usługi natrętne niebezinteresownych faktorów. Zamiast błogosławieństwa fachowych dłoni i solennego pienia „djaków", odprowadzały go z tego świata błogosławieństwa wszystkich ludzi myślących, szedł za nim żal serdeczny wielomiljonowego ludu, który ukochał aż do ekstazy tego dziwnego magnata, co potrafił tak wczuć się w bolesny byt parjasów, jak nikt ze współczesnych nie potrafił.

Duch mistycznej apostazji Tołstoja wybujał wysoko ponad zgiełk i zamęt rosyjskiego życia, gdzie pierwiastki zła sięgają gigantycznych rozmiarów, a pierwiastki dobra tak rychło stają się nierealne,.. Słabość ludzi podobnych Tołstojowi polega na tym, że niezdolni są zło zażegnać, bo wzięli nazbyt zupełny z nim rozbrat.

Ale pod jednym względem Tołstoj przeciwiał się złu świadomie i czynnie. Cokolwiek sądzić można o przekazanej przezeń neo-ewangelji, niewątpliwym jest faktem, że autor *Zmartwychwstania* wyłamał się z pod rygoru tej przemożnej teokracji, przed którą chylą się kornie najbardziej butni biurokraci. Olbrzymiej potędze kleru stanął Tołstoj napoprzek, jak niewzruszona opoka. Odbiły się odeń groźby, odbiły zabiegi, czynione w przeddzień zgonu, kiedy wysłańcy Kościoła krążyli wokół śmiertelnego łoża, pragnąc uchwycić i ujarzmić bodaj ostatnie tchnienie wielkiego Apostaty. Wszystko napróżno. Starzec z Jasnej Polany odszedł w krainę niebytu z myślą do końca niezależną. Ta spokojna śmierć więcej znaczy, niż jaskrawy program, bowiem dla mistycznie usposobionych Rosjan niemasz piękniejszego wzoru, jak do końca niezakłócona harmonja tworu i życia ..

Gdy to się działo w Rosji, jednocześnie podobny zupełnie głos otoczył w Niemczech sędziwego rzecznika i mistrza monizmu. Prof. Ernest Haeckel z Jeny uprzykrzył sobie przynależność do kościoła luterańskiego, który aczkolwiek niezmiernie góruje nad wschodnim i zachodnim swoim sąsiadem pod względem jeśli nie treści, to formy — jednak stał się ciężarem dla wolnego umysłu nie do zniesienia, zwłaszcza z chwilą zadzierzgnięcia jawnego sojuszu pomiędzy kościołami wszelkich wyznań na tle reakcji polityczno-społecznej. W ostatnim numerze *Prawdy* wspominaliśmy tu, na tym miejscu, o znamiennym pakcie, zawartym przez cesarza Wilhelma z czarną armią Watykanu... Sędziwy Ernest Haeckel podjął śmiało rękawicę, rzuconą przez władzę Niemiec wszystkim wolnym i światłym umysłom. Odtąd spodziewać się można, że hasło rozdziału Państwa i Kościoła oraz Kościoła i szkoły zyska odgłos w kołach radykalnej niemieckiej opozycji, bowiem Wolna Myśl — to posiew, co późno wschodzi, ale daje bujne plony. Program *laicyzacji Niemiec* może będzie tym niezbędnym terenem, na którym skupią się nareszcie i skoordynują rozproszone siły Postępu.

Dziwny ksiądz.

Od wrzawy zajadłej nagańki, od szczucia, zasadzek i oszczerstw, kierowanych przez kler katolicki przeciw *Zaraniu* i szkołom ludowym w Kruszynku i Sokołówku — odbija nader jaskrawo czyn pewnego proboszcza, który przesłał w tych dniach gorące słowa zachęty redakcji rzeczonego pisma, wraz ze szczodrym, płynącym z serca, darem na zohydzoną tak niesumiennie uczelnię w Sokołówku...

Dziwny ten ksiądz mieszka w Amer yce, w Paranie. Jest proboszczem kolonji polskiej w Araukarji i nazywa się Józef Anusz. Nazwisko czytelnikom *Prawdy* jest znane; sądzimy, że będzie ono kiedyś zna-

nem i szerszemu ogółowi, bo zaprawdę, nazbyt wyróżnia się, nazbyt przykuwa do siebie uwagę, nazbyt zdumiewa i *cieszy* ten jedyny w Polsce kapłan, który pod sutanną kryje serce gorące i czujne, serce nie rzymskiego sługi, ale Polaka i obywatela.

Czy tacy księża istnieć i działać mogą *tylko za oceanem*? Tak by się zdawało, bowiem pomiędzy Paraną a Polską legł cały niezmierny Atlantyk różnic zanadto tradycjonalnych, by je można było za jednym zamachem usunąć...

Klerykaliści zżymają się gniewnie na ciągłe wypominanie im Jasnej Góry. Chcecie, by zapomiano o Macochu? Bądźcie tacy, jak Anusz...

Francuzkie odczyty w Warszawie.

Oddział towarzystwa międzynarodowego Alliance Française zawiązanego dla szerzenia znajomości języka i kultury francuzkiej, przedsięwziął w tym celu zorganizowanie u nas szeregu odczytów, aby dać szerszej publiczności obraz prawdziwej Francji przeszłej i teraźniejszej.

P. André Lichtenberger Alzatczyk, kochający swą ojczyznę gorącą miłością bojowego kresowca starał się w kilku rzutach malowniczego słowa wywiązać się z tego zadania—i jeśli nie głębokością treści, to mistrzowską techniką gawędziarską zainteresował słuchaczy.

Zaczynając więc od świetnej epoki króla-słońca, którego promienie olśniewały współczesnych, odsłonił nam odwrotną stronę medalu tej epoki.

Panowie ówcześni, tak układnie występujący na Wersalskim dworze, u siebie w domu byli bardzo nie kulturalni i gruboskórni.

Wojny i prześladowania dysydentów zubożyły bowiem kraj i cofnęły wstecz jego rozwój, z wypędzeniem dysydentów zniknęły i dążności humanistów, a jedynym wychowawcą narodu pozostał nieoświecony kler katolicki; to też nawet najwyżsi arystokraci zaledwie czytać umiejący spędzają czas, pozostały od ciągłych procesów, bijatyk i pojedynków przeważnie na łowach tańcach i bardzo prymitywnych umizgach. Niechlujstwo. obżarstwo i pijatyki a *la Gargantine* sięgało do sfer najwyższych. Wyzysk i ucisk poddanych łączył się z formą patryarchalnego życia.

Zrównanie się stanów i dopływ nowych żywiołów do towarzyskiego życia, nastąpiło dopiero w XVIII stuleciu. Obok szlachty już oświeconej, z której wielu, o akademickich marzy palmach, widzimy, ukształconych finansistów i kler bardzo liberalny. Uczeni, artyści, filozofowie rozwijają w salonach swe pomysły; ton nadaje wszędzie pani domu sprytna, lotna inteligentna i wytworna syflida. Już od wczesnej młodości tresują małą „damę" ochmistrzynie i niańki bacząc na każdy jej ruch i formując ułożenie. Pobyt w klasztorze jest dalszym ciągiem tej tresury.—Wychodząc za mąż bez skłonności, później dopiero daje ujście swym zachwytom, gdy cały aparat środków podwyższa jej urodę, więc: koafiura jest sztuką, o której encyklopedje osobno piszą—bielidła, róż i wonności miljony kosztują, „muszki" najprzeróżniejsze i gorsety są przedmiotem obszernych traktatów Salony ówczesne skupiające nietylko śmietankę miejscową, lecz prawdziwa inwazja cudzoziemców przychodzi przez ich posadzki.—Każdy nowy utwór, każda myśl każdy fakt donioślejszy—jest omawiany wszechstronnie, poważnie, lub feljetonowo. Salony były więc jakby obecnymi organami prasy, i skupieniem pewnych kierunków społecznych i literackich. Gdy zagasł rewolucyjny wulkan gdy skończyła się napoleońska epopeja, minęło lat kilkadziesiąt przyszły ciężkie dni Sedanu i upokorzenia Faszody, — i oto podnoszą się zewsząd głosy przeciw wielkiej nacji, zarzucając jej upadek polityczny, ekonomiczny i moralny — prelegent więc zwracając się w ostatniej konferencii do „całej Warszawy" w gorących słowach wygłosił jej apologję, kończąc słowami wzniosłego hymnu na część ojczyzny swej, jako odrodzicielki ideałów ludzkości, kroczącej od lat 200-stu na czele postępu kultury i wolności.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* P. Roman Dmowski wystąpił na szpaltach *Gazety Warszawskiej* w siemiu sążnistych artykułach przeciw „liberalnej Rosji" w osobie kadetów, z których nie jest zadowolony. Krok ten nie wywarł zamierzonego efektu, bowiem opinja bynajmniej nie myśli akceptować wszczętej przez p. Dmowskiego „rewizji". Przeciwnie, wypowiada się za utrzymaniem stałego kontaktu z opozycją rosyjską. Okazało się tedy — po raz drugi w krótkim przeciągu czasu — że t. zw. demokracja narodowa nie reprezentuje nastroju szerokich mas społeczeństwa i uosabia dziś znikomą jego mniejszość. Ten stan rzeczy znalazł też odbicie w prasie.

Kurjer Poranny ze zwykłą precyzją rozstrząsając wywody *Gazety Warszawskiej*, taką jej w końcu podaje pigułkę:

> Panowie Dmowski i Balicki wierzyli święcie w cudowną moc współczesnego nacjonalizmu według wzorów angielsko-japońsko-czeskich. Podjęli się więc zaszczepienia tej rośliny na pniu odradzającej się Rosji. Widzieli przed sobą tylko wyzutą z wszelkiej ideowości biurokrację i wyzutą, jak mniemali, z wszelkiego „rozumu stanu" rewolucję. Stworzymy coś trzeciego — wywołamy twórczy nacjonalizm rosyjski, tchniemy w niego naszego ducha, i z tą rosyjską narodową demokracją dojdziemy do wspaniałego porozumienia w myśl wzajemnego rozgraniczenia sfery eksploatacji politycznej... I nacjonalizm urodził się istotnie— ale p. Dmowski sam się przeląkł własnego płodu. Jeżeli już guczkowowy oktobryzm był jaskrawą pomyłką w przewidywaniach, Puriszkiewicz i Markow II-gi, Krupienski i Eulogjusz stanowić będą po wszystkie czasy odstraszający przykład, że szczepienie kartofli na pokrzywie nie jest szczęśliwym ogrodniczym pomysłem. I daremnie już potym, jak czarownik z bajki, neoslawizmem usiłował p. Dmowski zażegnać potworne widma, jakie wywołał. Brnął coraz głębiej, i zostawił wreszcie w moczarach towarzyszy broni, umywając od wszystkiego ręce.
>
> A dziś „Gazeta Warszawska" wytacza proces nie jawnym błędom politycznym wodza stronnictwa, ale liberalnej Rosji za to. że go nie mogła zrozumieć, że nie chciała w nim uznać pełnomocnego przedstawiciela całego narodu, i że niechętnie patrzyła na jego fatalne próby kompromisów polskości z czarnym i wstecznym oktobryzmem o ciasniutkie realne ochłapki, które przy bujnej jedynie fantazji mogłyby być wzięte pod powiększająco-łudzące szkło mistyczno-dziejowych założeń gnnetycznych i przeznaczeń przesuniętych w omroczną mgłę wieków.

Goniec powiada wręcz: „Zapowiedź „rewizji" naszego stosunku do kadetów jest pozbawiona wszelkiego sensu..." poczem dochodzi do takich wniosków:

> Jedynie właściwy stosunek do obcych stronnictw na tym polega, ażeby brać je takimi, jakimi są.
>
> Zapytajmy tedy, czy stronnictwo kadetów, takie, jakim je znamy z doświadczeń blisko pięcioletnich może być uważane za naszego naturalnego sprzymierzeńca?
>
> Odpowiedź może być tylko twierdząca. Kadeci są zdecydowanymi zwolennikami ustroju konstytucyjnego i gwarancji obywatelskich oraz przeciwnikami praw wyjątkowych. Już to samo wystarcza do stworzenia naturalnej podstawy pomiędzy nimi a Polakami, na których spada cały

ciężar przepisów i stanów wyjątkowych oraz samowoli biurokratycznej.

Niedość na tym. W zakresie samej kwestji polskiej kadeci postawili hasło autonomji. Wprawdzie hasło to nie odegrało dużej roli w agitacji politycznej stronnictwa, a tym mniej w deklaracjach i przemówieniach posłów kadeckich podczas trwania pierwszych dwuch Izb w każdym jednak razie nie można mu odmawiać wszelkiego znaczenia. Cała ubiegła działalność trzeciej Izby dość wymownie świadczy, że poza kadetami niema w Rosji partji szczerze konstytucyjnych. Niema również po prawicy kadetów zdecydowanych przeciwników dzisiejszej gospodarki biurokratycznej, operującej przepisami i stanami wyjątkowymi. Co zaś do systemu rządzenia w Królestwie, to znajduje on naogół aprobatę nietylko zjednoczonej prawicy, lecz i październikowców. Trafiają się drobne różnice w ocenie tych lub innych środków, nie są one atoli większe od różnic, dzielących zapatrywania wyższych przedstawicieli biurokracji, którzy przecież nie zawsze się zgadzają na jedno.

Kto odrzuca związek z kadetami, ten uprzednio odpowiedzieć powinien na dwa pytania: 1) czy Polacy powinni stawać po stronie „odnowionej“ wszechwładzy biurokracji w całym państwie i obecnego systemu rządzenia w naszym kraju; 2) czy mają unikać zasady współdziałania z partją rosyjską, z którą łączy ich cały szereg postulatów wspólnych? Wystarcza postawić powyższe pytania, ażeby mieć na nie odpowiedzi. A z odpowiedzi tych wynika, że przymierze z kadetami miało i ma grunt naturalny.

Na tym samym stanowisku stoi *Nowa Gazeta*, której korespodent petersburski, zaznaczając wysoce ujemnę wrażenie artykułów *Gazety Warsz.* w kołach poselskich, powiada:

W przeciągu całego roku nieomal p. Dmowski milczał, lecz wreszcie nie „zdzierżył“, jak mówi Sienkiewicz i... napisał szereg artykułów p. t. „Liberalna Rosja a Polacy.“ Jeżeli chodziło o przypomnienie o swym istnieniu, to cel ten został osiągnięty; jeżeli mu zależało na tym, by raz jeszcze podkreślić mocno swój brak zmysłu politycznego, to i ten cel również został osiągnięty.

Wrażenie artykułów naczelnych „Gazety Warszawskiej“ wśród Rosjan postępowych (sądzę bynajmniej nie wyłącznie z „Rieczy“) było jaknajgorsze.

Koło polskie w ciężkiej chwili zostało postawione w niezwykle trudnej sytuacji. Napaść na stanowisko posłów polskich w sprawie równouprawnienia w samorządzie, dzięki stanowisku, jakie niegdyś p. Dmowski zajmo ał w Kole, wywarła na Rosjan wrażenie, iż Koło jest nieszczere, iż „istotną prawdę“ o stosunku Polaków do równouprawnienia wypowiedział właśnie p. Dmowski.

Nie można też powiedzieć, by artykuły „Gazety Warszawskiej sprawiły przyjemne wrażenie na posłach polskich; w tych trudnych chwilach wrażenie to było przygnębiające.

Z prasy rosyjskiej.

W gazecie *Riecz* wystąpił jeden z przywódców partji „wolości ludu“ p. Pietrunkiewich, z oceną artykułów *Gazety Warszawskiej*, która mylnie uważana jest w Rosji za wyraz przeważającej w Królestwie opinji.

P. Roman Dmowski — pisze Pietrunkiewicz — niezadowolony jest z partji wolności ludu. Wpływowy polski publicysta, a eks poseł z m. Warszawy, „pragnie przekonać społeczeństwo polskie, że partja wolności ludu jest wrogiem narodu polskiego, oraz, że polityka p. Dmowskiego i Koła polskiego w Dumie, polityka, która nadzieje polskie zwróciła ku prawicy, zawsze była przenikliwą i obecnie jest zupełnie zrozumiałą i usprawiedliwioną...

Niezadowolony jest również p. Dmowski i z gazety „Riecz“, która, aczkolwiek uważana jest powszechnie za organ kadecki, lecz w rzeczywistości, zdaniem p. Dmowskiego „zajmuje stanowisko organu żydowskiego, co zresztą potwierdzają już same nazwiska redaktorów i wydawców gazety“.

Co się tyczy gazety „Riecz“, to wiadomości swe p. Dmowski prawdopodobnie zapożyczył od p. Mieńszykowa, który, jak wiadomo, już oddawna nie ma wątpliwości co do żydowskiego pochodzenia wszystkich członków partji kadetów i dlatego nazywa ich żydo-katolikami. Nie będziemy spierali się co do tej sprawy, pozostawiamy pod tym tym względem zarówno rosyjskim, jak i polskim Mieńszykowom zupełną swobodę sądu i powrócimy do zasadniczych zarzutów.

Zdaniem p. Dmowskiego, gazeta „Riecz“, wszelkimi siłami stara się zachwiać położenie Koła polskiego i przeszkadzać obronie interesów polskich w Dumie, wreszcie podejrzewa Polaków o tajne przymierze z p. Guczkowem i październikowcami, którzy przyrzekli Polakom wprowadzenie w Polsce samorządu ziemskiego, odroczenie rozważania kwestji chełmskiej i t. d... Słowem, organ kadetów wszelkimi siłami usiluje zdyskredytować subtelną politykę dyplomatów polskich. Głównym sprawcą nieszczęścia jest Milukow, który „oddawna pretenduje do roli feldmarszałka całej armji niezadowolonych z polityki rządu i zawsze gniewa się, jeżeli ta lub inna frakcja opozycyjna nie kroczy jego śladami.

A więc p. Dmowski, podobnie, jak generał Grippenberg, który opuścił swą armję w najkrytyczniejszej chwili walki, nie chce przyznać Milukowowi nawet talentu generała Kuropatkina. Ze swej strony, jaknajchętniej przyznajemy p. Dmowskiemu talent gen. Grippenberga i zobaczymy o co chodzi, ponieważ zarówno partja wolności ludu, jak i gazeta „Riecz“ nietylko, że nigdy nie pragnęły szkodzić lub przeszkadzać Polsce w uporządkowaniu jej interesów, lecz była jedyną partją, która wyraźnie postawiła w programie swym zasadę autonomicznej Polski i niepodzielnej Rosji. Ten punkt jej programu nie był ani manewrem przedwyborczymi ani też wekslem, którego nie zamierzano zapłacić. Było to jeszcze wówczas, kiedy Duma państwowa nie istniała. Zasadę autonomji wogóle, a w szczególności autonomji Polski, z warunkiem zachowania jedności państwowej, partja przyjęła, jako prawną puściznę po zjazdach ziemskich, które odegrały rolę swego rodzaju „wiosny parlamentu“, oraz jako konieczny a nieunikniony warunek załatwienia odwiecznej walki dwóch bratnich narodów, wreszcie jako warunek rozwoju kulturalnego państwa rosyjskiego. Przedstawiciele Polski, którzy brali udział w zjazdach ziemskich, prawdopodobnie nie zapomnieli gorących rozpraw nad tą sprawą, ktora zarazem była początkiem karjery politycznej Guczkowa, który po raz pierwszy wystąpił w charakterze nacjonalisty rosyjskiego i przeciwnika autonomji Polski. Prawdopodobnie, przypominają sobie również, że najgorętszymi obrońcami jej byli właśnie ci, którzy potem utworzyli „sztab“ partji kadetów, która nigdy nie zdradziła swych zasad politycznych i socjalnych.

P. Pietrunkiewicz kończy swoje wywody następującą słuszną uwagą:

Zorjentować się w radach p. Dmowskiego jest rzeczą samych Polaków, lecz, o ile sprawa ta dotyczy nas, nie wątpimy, że nie wśród rosyjskiego szowinizmu narodowego może Polska autonomiczna, korzystająca z dobrodziejstw swego samorządu kulturalnego, znaleźć sobie sprzymierzeńców Jej losy historyczne mogą zmienić się w zależności od zmiany ustroju politycznego w Rosji.

Realizm w polityce pojmujemy inaczej, niż pojmuje go p. Dmowski, oraz negujemy w niej rolę twórczą siły fizycznej.

Współżycie Polaków i żydów na terytorjum polskim — kończy prof. Petrunkiewicz — jako fakt historyczny nie może być rozwiązane ani w drodze emigracji żydów, ani też za pomocą „udoskonalenia“ tych ograniczeń, które w ciągu wieków wykazały tylko swoją bezsilność i nieludzkość. Prawne idee naszych czasów nigdy nie pogodzą się ze środkami i uczuciami właściwymi wiekom średnim, i Polska rozwiązania kwestji żydowskiej u siebie powinna szukać nie

w przeżytkach odległej przeszłości, lecz we współczesnym poczuciu i idei prawa. Pomocną dla niej w tym będzie nie polityka p. Dmowskiego, lecz wysokość kultury polskiej oraz energja charakteru polskiego.

LIST DO REDAKCJI.

Od p. Kalińskiego, naczelnika szkoły kolei Warsz.-Wiedeńskiej otrzymujemy list następujący, który w imię bezstronności pomieszczamy.

Szanowny Panie Redaktorze!

W Nr. 46 „Prawdy“ w artykule: „Szkodliwe synekury“ napisana jest taka nieprawda, że prosiłbym Redakcję o umieszczenie tych słów parę w imię bezstronności i tej prawdy, której pismo nosi tytuł (!) Pominąłbym milczeniem wycieczki bezimiennego autora artykułu, tyczące się mię (!) osobiście, lecz szkołę uważam za rzecz publiczną i społeczeństwo powinno o niej wiedzieć prawdę rzeczywistą. Piszę także i wskutek sponiewierania przez autora młodzieży naszej, bo kształcąc się w tej „lichej“ szkole i pod zarządem naczelnika, którego szkolna gospodarka „potrzebuje sanacji“, bez tego sprostowania wyszłaby w świat z piętnem idjotyzmu, nadanym jej przez autora artykułu.

Odpowiem na wszystko i zacznę od wpisów szkolnych.

Rzeczywiście wpis 10 rublowy czyli opłata szkolna za naukę w poprzedniej *niższej*, bo 3-klasowej szkole (mającej 6 oddziałów) przy zamienie jej na 6-cio klasową *średnią*, został podniesionym do 20 — 25 — 30 rubli na rok, co w porównaniu z 120 — 150 rb. wpisami w wszystkich średnich szkołach stanowi $^1/_6$ — $^1/_5$ część tych ostatnich wpisów. Regulować wysokość tych wpisów może w szkole 6-cio klasowej kolejowej tylko Rada Zarządzająca Dr. Żelaznej, składająca się z przedstawicieli akcjonarjuszów, płacących na szkołę z własnej kieszeni i dopłacających na utrzymanie obecnej średniej a więc droższej, więcej niż wynosi suma podwyższonych wpisów szkolnych. Dodam, że opłata za naukę tylko przechodzi przez kancelarję szkoły; pieniądze zaraz po otrzymaniu ich od uczniów lub ich rodziców natychmiast przesyłają się (!) do kasy Głównej kolei. Pominę milczeniem objaśnienia o mojej synekuralnej pensji, której wysokość nie dorównywa wynagrodzeniu otrzymywanemu dawniej przez mego poprzednika, ani też pensjom dyrektorów niektórych szkół w Warszawie; pomijam także opis mojej przedszkolnej działalności na kolei, moich wykładów w szkole technicznej; pomijam nawet sąd o mojej znajomości pedagogji, bo tę osądził Komitet Wystawy Częstochowskiej, zaprosiwszy mię na członka jury w dziale pedagogiczno naukowym, na co dowody mogę pokazać interesującym się tą sprawą..., przechodzę do gospodarki mojej w szkole, która jakoby potrzebuje „sanacji“. Pierwszym jej objawem było zaprowadzenie przezemnie w 1906/7 roku szkolnym na kursach technicznych wykładów architektury przy lekcjach architektonicznych rysunków, z zaproszeniem do tych wykładów p. Sosnowskiego, jednego z najzdolniejszych młodych architektów, którego nazwisko często się słyszy przy rozstrzyganiu konkursów budowlanych; nadto wprowadziłem wtedy naukę elektrotechniki, rozszerzyłem wykłady mechaniki parowej i t. d. — co zaświadczą byli wychowańcy kursów technicznych, obecni uczniowie szkoły Wawelberga.

Ponieważ szkoła kolejowa czytelni nie miała, wyjednałem udzielenie książek z czytelni Stowarzyszenia Spożywczego kolei.

W tymże roku w szkole niższej 3 klasowej otwarta została klasa I, której dotąd w szkole nie było. W klasie tej przyjęto uczniów 50, liczba zaś w innych klasach niższych dochodziła nieraz do 74, gdy każdy pedagog wie, że przy takiej ilości uczniów nauka nie może być prowadzona nawet znośnie. Nadto po 5 letnim przesiedzeniu w tej szkole, uczeń nietylko *nie mógł przejść* do innych szkół z powodu programu niższej szkoły, lecz nie mógł przejść nawet bezpośrednio na kursy techniczne, znajdujące się w tym samym gmachu i pod zarządem tegoż samego naczelnika. Ażeby się do nich dostać, uczeń musiał poprzednio zdać egzamin w szkole miejskiej rządowej i dopiero, po otrzymaniu świadectwa tej ostatniej, miał prawo stanąć do egzaminu na kursy techniczne przed nauczycielami, którzy patrzyli na niego w ciągu 5 lat poprzednich. Taką szkołę szczególnie po zamknięciu podwoi u kursów Technicznych i po nich pozostałą, postarałem się przerobić na obecną 6-cio klasową, dającą średnie wykształcenie, a nie jest ona tak „licha“, skoro po 3 letniej dopiero egzystencji z pierwszej partji wypuszczonych w czerwcu r. b. 8 uczniów zostało przyjętych bez egzaminu do Szkoły Wawelberga na 1 kurs specjalny (a nie przygotowawczy), do którego mają wstęp uczniowie po ukończeniu szkół realnych i są tam, jak wiem od Profesora tej uczelni, jeżeli nie najlepszymi, to stoją w pierwszym ich szeregu. Muszę dodać, że jeszcze przed zamknięciem kursów technicznych myślano o przekształceniu szkoły niższej na inną z innym programem.

W dalszym ciągu mej gospodarki wprowadzone są do obecnej 6 cio klasowej szkoły wykłady: higjeny, prawoznawstwa, ekonomji politycznej, buchalterji a później języka niemieckiego, na co trzeba było wyjednywać specjalne pozwolenie od Inspekcji Rządowej. Gimnastyka wyprowadzoną została ze stanu „szagistiki“ na taką, która wzmacnia muskuły, rozwija klatki piersiowe uczniów, w ostatniej zaś klasie ma charakter życiowo-praktyczny.

Wprowadzone też zostały rzemiosła: koszykarstwo w niższych, tokarstwo i stolarstwo w wyższych klasach (ślusarstwo jest niemożebne, bo siły uczniów są jeszcze za słabe). Uczniowie przytym tak chętnie pracują fizycznie po pracy umysłowej, że musiałem zgodzić się na ich prośbę o pozwolenie 2 razy w tygodniu zajmować się robotą ręczną po godzinach szkolnych. Na pokazie publicznych tych robót, urządzonym na wiosnę r. b. oglądali je pedagodzy nietylko z Warszawy, lecz i z prowincji i uznali je za b. pożądane. Oglądali je i rodzice uczniów, a chyba były niezłe, skoro rozprzedano wszystko, co tylko do sprzedania było.

Nie będę rozpisywał się o innych objawach gospodarki mojej, potrzebującej „sanacji“, np. o wysyłaniu uczniów na wystawy naukowe, urządzaniu wycieczek naukowych do rozmaitych okolic kraju, o wysłaniu na wieś na kilka miesięcy ucznia zagrożonego suchotami, o wykonaniu (!) na moją prośbę pogadanek (!) przez lekarza szkoły, dr. Chełmońskiego, tyczących się: szkodliwości palenia tytuniu, picia spirytualji i o innych nałogach, rujnujących zdrowie młodzieży. Dla zdrowotności uczniów urządziłem za fundusze, wyjednane od Zarządu kolei, umywalnie w korytarzach szkoły a także ciepłe natryskowe kąpiele, których używają 2 razy na miesiąc uczniowie wszystkich klas szkoły; skasowałem karmienie uczniów w bramie u stróża rozmaitymi smakołykami i obecnie urządzony jest bufet obok szkolnej kancelarji, prowadzony obecnie pod moim i lekarza dozorem przez żonę jednego z woźnych, wybraną do tego przez resztę kolegów jej męża. Uczniowie mają sklepik zapoczątkowany z pieniędzy, otrzymanych za sprzedaną makulaturę z odpadków papierowych. W sklepiku tym dyżurni uczniowie sprzedają kolegom kajety i inne utensylja szkolne, ochraniając tym sposobem siebie od wyzysku sklepikarzy.

To są grzechy mojej gospodarki, którą można sprawdzić na miejscu! Mamy też i muzeum, lecz nie „wyrzucone na strych“. Stoi ono na miejscu, a na strych wyrzucone są t. zw. „gipsy“, które dawniej były używane do nauki rysunków. Poprzedni kustosz p. Edward Grabowski którego znają i z pedagogji i z prac naukowych historycznych, obecnie wykłada język polski, a nadto za pieniądze, wyjednane przezemnie od Zarządu kolei, skupuje książki i kompletuje je do czytelni uczniowskiej, która będzie otwartą dla uczniów po Nowym roku. Nie potrzebuję pisać o innych nauczycielach, bo społeczeństwo zna ich i w instytucjach szkolnych, zacząwszy od szkoły przy Muzeum Rzemiosł i w instytucjach społecznych, zacząwszy od Towarzystwa Krajoznawczego; nie wolno mi jednak zamilczeć o insynuacji względem nauczycieli, których autor z ironją nazywa „początkowymi“. Dla ich charakterystyki piszę, że jeden z nich ma za sobą 30 letnie prowadzenie szkoły 2 klasowej, drugi studjuje nawet podręczniki naukowe amerykańskie i przygotowuje się obecnie do wstąpienia na Politechnikę Paryzką (szkołę Centralną), 3-ci przygotowywał się lat kilka do wykładów swego przedmiotu po zdaniu egzaminów w szkole realnej Łowickiej, — a wszyscy są bardzo pożyteczni dla szkoły jako wychowawcy i nauczyciele w klasach niższych.

Dla wiadomości społeczeństwa, które może niezupełnie obznajmione jest ze szkołą wskutek dopiero 3 letniej jej egzestencji, dodam, że jest ona średnią, ogólno-kształcącą z kierunkiem realnym z uwzględnieniem najnowszych metod nauczania, co się uwidocznia najbardziej w wykładach: rysunków ręcznych i technicznych, geometrji, przyrody i języka niemieckiego.

Cel szkoły: rozwinąwszy ucznia umysłowo i, o ile można,

fizycznie z zachowaniem mu zdrowia — dać mu z jednej strony możność przejścia z tej szkoły do innych, z czego skorzystali wyżej wymienieni wychowańcy, wstąpiwszy do szkoły Wawelberga (a są i w szkole Piotrowskiego); z drugiej strony aby uczniowie po wysłuchaniu w szkole buchalterji, higjeny, prawoznawstwa, języka niemieckiego, że się tak wyrażę, nauk „życiowych“ a nawet zaznajomiwszy się z rzemiosłami, mieli możność odrazu, po wyjściu ze szkoły, zająć się pracą fizyczną lub biurową w jakiej instytucji, czego dowodem, wbrew twierdzeniom autora, może służyć Wawrzyńczak, który po ukończeniu szkoły z patentem w r. bieżącym dostał 2 tygodnie temu z mojej rekomendacji posadę na kolei Wiedeńskiej i pracuje w Sosnowcu w Agenturze celnej kolei.

Kończąc niniejsze sprawozdanie dla społeczeństwa, nie mogę jednak powstrzymać się od zapytania: cui bono i w jakim celu autor napisał swój artykuł? Czy, aby zniechęcić kolejarzy naszych do obecnej szkoły? Czy aby odebrać u akcjonarjuszów — właścicieli szkoły, chęć do jej utrzymania, na którą wydając kilkadziesiąt tysięcy rubli jedynie dla podtrzymania oświaty w kraju, żadnych osobistych korzyści z niej nie mają. Czy aby zniechęcić mię i utrudnić pracę szkolną, która w obecnych czasach, jak wiadomo, nie jest ani łatwą, ani słodką? A może jest to jeden z tych, którzy przy sanacji szkoły poprzedniej i przeobrażeniu wyszedł z niej i czuje z tego powodu żal względem mnie i szkoły? Lecz nie mogę nawet wytłumaczyć niesłuszności żalu, bo ukrył swoje nazwisko i nie podpisał nim artykułu.

Naczelnik szkoły 6-cio klasowej kolei Wiedeńskiej

21/XI 1910. *Wł. Kaliński.*

Przytoczyliśmy list p. Kalińskiego w całości i nie opuściliśmy ani jednej pochwały, jaką oddaje p. Kaliński... sam sobie. Wartość tego rodzaju pochwał osądzą sami czytelnicy. Ze smutkiem jednak zaznaczyć musimy, że p. Kaliński nie postarał się o odparcie ani jednego poważniejszego zarzutu, jaki szkole postawiliśmy.

1-o Pan Kaliński nie zaprzecza i nie może zaprzeczyć faktowi, że szkoła się wyludnia, że liczba uczniów w niektórych klasach spadła do połowy. Grozi to zwinięciem oddziałów równoległych, usunięciem pewnej liczby nauczycieli a nawet nowym podniesieniem wpisowego i usunięciem nowej liczby uczniów biedniejszych...

2-o Pan Kaliński przyznaje, że opłata szkolna została podniesiona do 30 rb. i jest wymagana na początku roku szkolnego z góry za cały rok od rodziców, których pensja miesięczna jest nieraz nie o wiele większa.

3-o Pan Kaliński nie może zaprzeczyć, że podniesienie wpisów było lichą operacją finansową, która dała szkole zaledwie kilka tysięcy rubli, kosztem usunięcia ze szkoły kilka setek dzieci, kiedy równocześnie marnowano znacznie więcej na synekury.

4-o Pan Kaliński nie może zaprzeczyć, że kustoszostwo muzeum z pensją tysiąca kilkuset rubli było synekurą, bo kustosz przez kilka lat nie robił nic i dopiero teraz „zaczął skupować książki do czytelni uczniowskiej“. Do tego dodać należy, że w żadnej szkole w Warszawie niema równie licznego personelu kancelaryjnego.

5-o Zarząd szkolny wydał sobie tertimonium paupertatis, jeżeli dotąd nie zdobył się na wydanie ani programu szkolnego, ani sprawozdania i nietylko nie pozyskał zaufania rodziców, ale nie pozwolił nawet na zebranie rodzicielskie. Jest to zdaje się pierwsza i jedyna szkoła polska, która rodzicom swych uczniów nie śmie spojrzeć w oczy.

6-o Pan Kaliński podając wyjątkowy wypadek, że równocześnie niemal z artykułem *Prawdy* jeden wychowaniec szkoły dostał z rekomendacji „naczelnika“ szkoły miejsce na kolei, stwierdza tym samym, że z reguły kolej dotąd wychowańców tej szkoły nie przyjmowała.

Na zakończenie zaznaczyć musimy, że p. Kaliński niesłusznie krytykę swego „naczelnikowania“ w szkole uważa za poniewieranie młodzieży i nadawanie jej „piętna idjotyzmu“ (sic!) W artykule mowa była wyłącznie o gospodarce „naczelnika“ szkoły. Autor nie chciał dotknąć ani akcjonarjuszy, którzy dali pieniądze w dostatecznej ilości do stworzenia dobrej i taniej szkoły, ani nauczycieli, którzy jednak z powodu autokratyzmu „naczelnika“ poza wykładem swych przedmiotów, wpływu na kierunek szkoły wywierać nie mogą. Co się zaś tyczy młodzieży, to autor miał wyłącznie jej dobro na celu, powodowany był jedynie chęcią, ażeby jaknajwięcej dzieci pracowników kolejowych korzystać mogło z taniej i dobrej szkoły.

Nb. Polecamy uwadze czytelników „kwiatki“ stylowe pana „Naczelnika“, jako przyczynek do kwalifikacji jego już nie na kierownika szkoły średniej, ale choćby na „mistrza“ elementarnych zasad gramatyki. Owe „przesyłanie się pieniędzy“, owe „wykonywanie pogadanek“, owe „wycieczki *tyczące się mię*“ (4-ty przypadek!!!) — i t. d i t. d. są wymowną ilustracją kompetencji pedagogicznej p. Kalińskiego.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów szkół polskich składki od następujących pracowników T-wa Nikopol. Mariupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, I. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 1, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb. 2, S Pilarski rb. 1, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2. J. Woroszyłło rb. 1 kop. 50, A. Misiewski kop. 50, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, L. Mierzyński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, L. Prokopowicz kop. 50, L. Czaykowski rb. 1. Ogółem rb. 51.

Książki nadesłane do Redakcji:

Matylda Serao. „Włosy Samsona“, powieść, przełożyła Aleksandra Skaza. Kraków. Księgarnia Leona Frommera. 1910. str. 257.

Lew Tołstoj. „Lata dziecięce“, tłómaczył Jan Kindelski, Kraków, księgarnia Leona Frommera, 1911. str. 207.

Guy de Maupassant. Wybór pism. III. „Nasze serca“. Powieść. Kraków — Warszawa. G. Gebethner i S-ka, str. 260.

Władysław Łoziński. „Madonna Busowiska“, nowela, wydanie 3. Lwów, księgarnia H. Altenberga, 1910, str. 110.

Wiktor Kuźniar. „Z przyrody Tatr“, z 11 rycinami w tekście i 16 tablicami, Kraków, Skład główny w księgarni Leona Frommera, str. 106.

Robert P. Porter „Niebezpieczeństwa przedsiębiorstw miejskich, przekład z angielskiego Z. A. K. z uwagami wstępnymi przez W. R. P. Warszawa, 1911; nakładem Spółki wydawniczej warszawskiej. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. Cena 80 kop.

Widnokręgów, dwutygodnika lwowskiego, ukazał się zeszyt XVII i zawiera treść: St. Maykowski: Leżeć w trawach... (wiersz). D-r M. Borowski: O filozofji Ryszarda Awenarjusza. Edward: Czas uderzyć w czynów stal. D-r Leon Biegeleisen: Nowe hasła narodowe i ich urzeczywistnienie (zamiast odpowiedzi). J. Kostecki: List do Jurela. K. Irzykowski: Ocalanie „istoty rzeczy“ (z powodu „Manjaków“ Jaworskiego). Przegląd idei: O sztuce i człowieku wiecznym Z. Wasilewskiego, Przegląd muzyczny: Uroczystości Chopinowskie. Przegląd literacki: Mieczysław Srokowski. Głosy. Książki nadesłane.

W. Lutosławski „Rozwój potęgi woli“. Str. 196. rb. 1 kop. 20. Nakład Gebethnera i Wolffa.

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwo

GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

Wypisy Historyczne

Wychodzące pod redakcją

prof. **KAZIMIERZA WACHOWSKIEGO**

i przy najbliższym współudziale zawodowych historyków: **Józefa Bojasińskiego, Janusza Iwaszkiewicza, Justyny Jastrzębskiej i Rudolfa Szerękowskiego**

zapełniają wielką lukę pedagogiczną przy nauczaniu historji powszechnej.

WYPISY HISTORYCZNE

obejmą przeszło **100 arkuszy** druku, w **3-ch tomach** po **36** arkuszy tom, czyli **18** zeszytach po **6** arkuszy druku każdy.

Tom I-szy obejmie „Historję Starożytną"

w 6 zeszytach po 6 arkuszy druku każdy.

TREŚĆ Zeszytu I. Egipt. Chaldea, Babilon i Assyrja.
„ „ II: Chaldea (dokończenie), Persja, Indje, [Grecja.
„ „ III: Grecja, (ciąg dalszy).
„ „ IV: Grecja (dokończenie).
„ „ V: Rzym.
„ „ VI: Rzym (dokończenie).

Każdy zeszyt ozdobiony będzie licznymi ilustracjami na osobnych tablicach.

Wyszedł z druku

ZESZYT I.

I zawiera opisy ywyczajów, obyczajów, religji Egiptu, Babilonu, Chaldei i Assyrji i wyjątkach z dzieł Ermana, Kaulena, Maspéro, Perrot i Chipiez, Święcickiego i innych.

Na sześciu osobnych tablicach

znajdujemy najpiękniejsze pomniki najstarszej cywilizacji egipskiej.

Cena zeszytu w prenumeracie k. 50

Z przesyłką pocztową **60** kop.

Przy przyjmowaniu prenumeraty wnosi się przedpłatę za zeszyty I-szy i ostatni każdego tomu.

Zeszyt 2-gi wyjdzie z druku w końcu grudnia 1910 roku.

Cały tom I-y będzie wydrukowany w okresie czasu do 1 lipca 1911 roku.

Księgarnie

GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie

i Lublinie — polecają

dzieła Stefana Żeromskiego

Andrzej Radek czyli syzyfowe prace. Powieść 1910.	1.50
Duma o hetmanie. Wyd. 3 cie. Inicyały i okładka. E. Okunia	2.
Opraw.	2.60
Ludzie Bezdomni. Powieść. Wyd. 4-te. 2 tomy. 1906.	2.
Opowiadania. Doktor Piotr.—Cokolwiek się zdarzy. Ananke.—Zmierzch.—Złe przeczucie.—Po Sedanie. — Zapomnienie.— Pokusa. Siłaczka.— Oko za oko. — Niedziela.—Z dziennika. Wyd. 3-cie. 1903.	1.35
Popioły Powieść z końca XVIII i początku XIX w. 3 t. 1910.	3.—
W ozdobnej oprawie	4.—
Powieść o udałym Walgierzu. 1906.	1.—
Promień. Powieść. Wyd. 3 cie. 1904.	1.—
Utwory powieściowe. Wyd 3-cie.z1904.	1.—
Treść: Na pokładzie.—O żołnierzu tułaczu. — Tabu. —Ciernie.—Kara.— Legenda o bracie leśnym.	

WIDNOKRĘGI

dwutygodnik poświęcony sprawom kultury polskiej wychodzi we Lwowie pod redakcją Bronisława i Leona Biegeleisenów, Tadeusza Dąbrowskiego, Józefa Jedlicza, Marjana Olszewskiego i Ludomira Różyckiego.

Widnokręgi dają szereg rozpraw ze wszystkich działów kultury narodowej, pióra wybitniejszych sił publicystycznych polskich. — Zasadą pisma jest umiłowanie kraju, troska ozdrowy, niezaciemniony doktrynerstwem rozwój całokształtu życia polskiego.

Widnokręgi podają artykuły z zakresu filozofji, spraw społecznych, literatury, teatru, muzyki i sztuk plastycznych.

Każdy zeszyt ponadto mieści utwory belletrystyczne (poezje, nowele, dramaty i t. d.) oraz urozmaicone przeglądy.

Bardzo niska prenumerata wynosi

kwartalnie: 1 rb. 50 k. 2 kor. 70 gr.
półrocznie: 3 rb.—5 kor. 40 gr, 5 mar.
rocznie: 6 rb.—10 kor. 80 gr.—10 mar.

Adres Administracji: **Lwów, Czarneckiego 3.**

Adres Redakcji: **Lwów, św. Marka 6**

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50** rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.